Cena numeru 30 groszy.

Rok III. Bydgoszcz, 5 Kwietnia 1925 roku. Nr. 7.

HALLERCZYK

Dwutygodnik ● Organ Związku Hallerczyków. ● Wychodzi 5 i 20 każdego miesiąca

Wydawany przez Związek Hallerczyków. Redaktor St. Pałaszewski.

Adres redakcji i administracji: Bydgoszcz, ul. Jagiellońska 10 II. p. tel. 1473.— Redaktor przyjmuje codziennie od 5.30 do 6.30 po południu. Prenumerata roczna z przesyłką pocztową 6 zł Kwartalnie 1 zł 50 gr, za granicą 100 procent więcej. — Konto P. K. O. 206 673.

Ogłoszenia: Cała strona 180 zł, 1/2 strony 90 zł, 1/4 strony 45 zł, 1/8 strony 25 zł, 1/16 strony 13 zł, 1/3 strony 60 zł. Przy kilkakrotnem ogłoszeniu bez zmiany tekstu udzielamy zniżki. Zagraniczne o 100 proc. więcej.

Trzeba mieć oczy otwarte.

Po dniach żywiołowego odruchu obudzonej czujności narodowej wobec grożących państwu polskiemu niebezpieczeństw, zaczyna skądś wiać wiatr inny.

W rozważaniach na temat ostatnich wydarzeń międzynarodowych budzą się refleksje i pytania: Czy niebezpieczeństwa, grożące Polsce, są naprawdę tak realne? Czy rzeczywiście istnieje realna możliwość rewizji Traktatu Wersalskiego? A może alarm był zbyt głośny i przedwczesny?

Z Genewy i Londynu płyną ku Polsce suggestje uspokajające. Tłumaczą nam, że „cała sprawa będzie się jeszcze długo wałkować w Genewie“, że niebezpieczeństwa bezpośredniego niema, i że „w końcu“, być może, wszystko zostanie złożone do archiwum.

Tak uspokajają opinję polską politycy genewscy i londyńscy. I rzecz znamienna. Do tej akcji „uspokajającej“ przyłączyli się także Niemcy.

Dzienniki berlińskie skwapliwie notują wszelkie głosy londyńskie o tem, że projekty niemieckie nie są narazie aktualne i że właściwie to wszystko, co się o tych projektach mówiło, należy uważać za „nieobowiązującą wymianę zdań“.

Społeczeństwo polskie nie może poddać się tym suggestjom, dążącym do uśpienia naszej czujności!

Prawdą jest, że nie grozi nam bezpośrednie niebezpieczeństwo, jeżeli ten termin zrozumiemy dosłownie; prawdą jest, że „sprawa będzie jeszcze długo wałkować się“ i w końcu, być może, pójdzie do szaf archiwalnych.

Tak, to prawda. Ale cóż z tego wynika? Czy to, że na czujność i obronę przyjdzie czas dopiero w ostatniej chwili? Przecież największem nieszczęściem naszej polityki było zawsze to, że do odporu i obrony braliśmy się dopiero na pięć minut przed dwunastą.

Polityka, a zwłaszcza polityka międzynarodowa, nie jest rozkładem jazdy i nic nie dzieje się w niej według z góry oznaczonych terminów. Wiele spraw dojrzewa w niej lat dziesiątki i wieki, zanim wypłyną na powierzchnię życia bieżącego.

Kto nie chce w walce międzynarodowej być pokonanym, ten musi mieć stale otwarte oczy, aby grożące mu niebezpieczeństwo stłumić w zarodku i nie pozwolić mu rozrość się w potęgę.

I dlatego opinja polska nie może dać się uśpić przez płynące zewsząd suggestje uspokajające. Do walki z grożącem nam niebezpieczeństwem trzeba się zabrać odrazu, zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zewnętrznej. W polityce wewnętrznej musimy przystąpić do takiego wzmocnienia naszego ustroju, siły wojskowej i administracyjnej, abyśmy byli zdolni w każdej chwili dać odpór nieprzyjacielowi.

W polityce zewnętrznej zaś nie można zwlekać z przystąpieniem do akcji organizowania tych sił politycznych w Europie, a zwłaszcza w Europie środkowej, w których interesie, tak samo, jak w interesie Polski, leży obrona Traktatu Wersalskiego.

Odrzućmy ponętne pokusy, tak łatwo do serc polskich przemawiającego „jakoś to będzie“.

Chwila jest poważna i groźna, bo chwile w dziejach narodów trwają czasem lata. Raz obudzona czujność musi być utrzymana.

Nie wolno usypiać...

G. P.

Trudna formuła.

Prasa angielska, stwierdziwszy, iż w sprawie zachodnich granic Polski panuje we Francji opinja niemal jednomyślna, iż propozycje niemieckie co do możliwości ich rewizji nie mogą liczyć na jakąkolwiek dyskusję, pragnie obecnie pogodzić angielski i francuski punkt widzenia w tej sprawie przez inne rozwiązanie.

Londyński „Times" z dnia 5-go bm. w korespondencji z Paryża, gdzie na wstępie podany jest zasadniczy punkt widzenia Rządu Francuskiego, iż nie podpisze on żadnego układu, któryby nie udzielał zachodnim granicom Polski takiej samej gwarancji jak wschodnim granicom Francji, pisze dalej:

„Jest to punkt widzenia Quai d'Orsay, lecz rozumieją tu zupełnie dobrze, że Wielka Brytanja nie przyjmie żadnych zobowiązań wojskowych w Europie Środkowej i dlatego postawiono go tylko po to, aby wysnuć pwyższe wnioski. Interesujące jest, iż Pertinax z „Echo de Paris" pozostawił Polskę poza obrębem schematu swych możliwości. Według niego, najważniejszą rzeczą dla Francji jest układ wojskowy z Anglją i nowy traktat z Niemcami w sprawie interpretacji tych artykułów Traktatu Wersalskiego, które mówią o demilitaryzacji Nadrenji i kontroli Niemiec przez Ligę Narodów. Pozatem uważa on, iż klauzule terytorjalne traktatów pokojowych mają nie być poruszane lub nie być przedmiotem arbitrażu.

Są to uwagi konkretne i rozsądne (concrete and reasonable suggestions), które wydają się godne zastanowienia".

Istotnie Pertinax w „Echo de Paris" z dnia 5-go bm. uznał, iż punkt widzenia Rządu Francuskiego na sprawę propozycyj niemieckich powinien opierać się na trzech pod stawach: na zawarciu układu wojskowego anglo-francusko-belgijskiego (bez udziału Niemiec...), na wykonaniu art. 42, 43 i 44-go Traktatu Wersalskiego w sprawie demilitaryzacji Nadrenji oraz na nienaruszalności granic traktatowych, co brzmi dosłownie:

„Należy ustalić (klauzula ta istniała już w śp. Protokóle Genewskim), iż stan terytorjalny państw Europy Środkowej nie będzie przedmiotem arbitrażu i nie będzie mógł stać się tematem dyskusji".

Ustalenie, a więc określenie specjalną formułą, tego zobowiązania Niemiec będzie wymagało wiele pracy. W każdym razie z ducha propozycyj niemieckich przebija myśl, iż ofiarowują one bezpieczeństwo Zachodowi kosztem Wschodu. Niewiadomo więc, czy w dyskusji, jaka się wyłoni, owa formuła, określająca nasz stan posiadania, przypadnie im do gustu. Samo zaś szukanie tej formuły należy jednak uważać za próbę pogodzenia francuskiego i angielskiego punktu widzenia na sprawę bezpieczeństwa, zasadniczo dotąd sobie przeciwnych.

W Polsce jak kto chce.

Konsulat amerykański wyprawia z wychodźcami co mu się żywnie podoba: na 1000 wezwanych przez konsulat rolników, jak twierdzi sam wicekonsul, p. Dalferes, zaledwie 100 dostaje wizę. A los pozostałych cóż może obchodzić konsulat amerykański, skoro nie obchodzi odpowiednich czynników rządowych i skoro dotychczasowe praktyki konsulatu spotykają się ze słabym protestem na łamach prasy.

Misja francuska do werbowania robotników czuje się w Polsce, jak na własnych śmieciach.

Po tem wszystkiem, co prasa pisała o barakach w Mysłowicach (głośny skandal mysłowicki), misja uzyskała poważną zniżkę kolejową dla robotników, udających się na roboty do Francji nietylko przez Gdynię (co jest rzeczą słuszną), ale i przez Mysłowice, jakby nam zależało na popieraniu ruchu emigracyjnego przez Niemcy.

Towarzystwa Okrętowe traktują Polskę inaczej, niż państwa zachodnio-europejskie.

Zaczęło się od sprawy drobnej, od ogłoszeń. Oczywiście, towarzystwom okrętowym przysługuje całkowite prawo ogłaszania się w prasie polskiej. Narzucanie towarzystwom przymusu ogłoszeniowego byłoby rzeczą śmieszną, ale solidarna manifestacyjna uchwała nieogłaszania się wyłącznie w Polsce pod karą do 10 tysięcy funtów szterlingów czyni ze sprawy ogłoszeń, sprawy czysto prywatnej, wewnętrznej każdego towarzystwa okrętowego, sprawę publiczną o znaczeniu politycznem, nad którą nie powinno się było przejść do porządku dziennego.

Obecnie linje okrętowe uczyniły krok dalszy. Podwyższając ceny na karty okrętowe do Ameryki Północnej znowu w sposób odrębny potraktowały Polskę, nakładając na wychodźców z Polski dodatkowy haracz w wysokości 11 dolarów 50 centów.

Wyrażano nadzieję, że Urząd Emigracyjny okiełzna zbyt wielkie apetyty towarzystw okrętowych i ceny kart okrętowych sprowadzi do poziomu europejskiego. Dotychczas jednak to nie nastąpiło i linje w dalszym ciągu pobierają za przejazd do Ameryki Północnej po 132 dolary.

Jesteśmy skromni w żądaniach i bynajmniej nie domagamy się, jak tego chce Wydział Emigracyjny przy Komisji Centralnej Związków Zawodowych, utrzymania starej ceny 106 dolarów, skoro ta cena została zmieniona w całej Polsce. Można uzyskać od towarzystw okrętowych warunki bardziej dogodne, niż w innych krajach europejskich, ale nie możemy też się zgodzić na traktowanie Polski narówni z Mozambikiem lub innym Zanzibarem. Czas już wielki uzyskać równouprawnienie z narodami europejskiemi i w dziedzinie emigracji.

Coraz większe utrudnienia emigracyjne wytwarzają bardzo podatny grunt dla działalności wszelkiego rodzaju pośredników. Jedni z nich „ułatwiają" wyjazd emigrantom przez dostarczanie fałszywych paszportów, wiz i t. p. za drogie pieniądze, drudzy — tylko „informują" o warunkach życia za morzem i przyjmują zadatki na karty okrętowe do „raju" w Kanadzie i w innych krajach zamorskich.

Jak się dowiadujemy, Urząd Emigracyjny nie umiał ocenić „filantropijnej" działalności „informatorów" i pośredników i wystąpił przeciwko nim na drogę sądową.

(„Wychodźca" nr. 25 z dnia 1. 2. 1925).

Zbigniew Orlicz.

ORLĘTA.

ś. p.

Halinie, Janowi i Tadeuszowi Grabskim w hołdzie.

Baczność! Prezentuj broń! Bojowe chyl sztandary!
Powraca do nas chwała... z dalekich wraca stron...
Niech warczą bębny, trębacze grzmią fanfary,
niech się przystroi piastowski gród prastary,
i niech na wieży królewski zabrzmi dzwon!

Baczność! Prezentuj broń!
Dwie trumny na lawecie
w nich Orlęta, co broniły zagrożony Lwów.
Dziewczątko lat piętnaście — Mazowsza polne kwiecie,
szła z karabinem w dłoni w wojennych burz zamiecie
szukać ziszczenia o Polsce — złotych snów!
I uczeń płockiej szkoły, druh związku Harcerzy,
na pierwszy jęk męczeński biegł w śmiertelny bój,
a wzorem chrześcijańskich, kresowych rycerzy,
legł od kul hajdamackich na wschodniej rubieży,
za Boga i Ojczyznę i za Sztandar swój!

Na spotkanie Walecznych naród wyległ tłumnie,
by Czynom wiekopomnym hołd dziękczynny nieść...
Spoczną w glorji przy Brata — Bohatera, trumnie,
co padł — podobny gromem strzaskanej kolumnie.
— Baczność! Prezentuj broń!
Polska Im składa cześć!

Wczorajszy a dzisiejszy patrjotyzm.

Dawne przejawy patrjotyzmu z okresu niewoli przeminęły bezpowrotnie. Czasy budzenia ducha narodowego, pielęgnowanie idei własnego państwa za pomocą pieśni, obchodów, deklamacyj, — co było wówczas koniecznością i wprost przykazaniem sumienia norodowego — dziś straciły na swojem znaczeniu. Zagranica nie będzie nas oceniała według ilości wygłoszonych mów, wieczorków, obchodów itp., ale według naszych realnych zdolności, dowodzących niezbicie, że w każdej dziedzinie życia mamy doskonale uzdolnionych i rzetelnych fachowców, gruntownie przygotowanych i uczciwie swój zawód pojmujących, a umiejętnie i wydatnie pracujących, których walory, sumarycznie wzięte, wykażą, że jesteśmy narodem zdrowym, zdolnym do podjęcia trudów i wysiłków, że nie brak nam energji, przedsiębiorczości i wytrzymałości i że w tych ogólnoludzkich wyścigach nie damy się zdystansować, ale na równych prawach z innymi dla dobra ogólnoludzkiego i swego współpracować jesteśmy zdolni. Jest to twarde i niezłomne prawo patrjotyzmu dnia dzisiejszego, decydujące o losach i przyszłości narodu. Na wyjątki lub przywileje miejsca tu niema.

Jeżeli zadamy sobie pytanie, czy w tym kierunku potrafiliśmy zrównać się z innemi narodami, to odpowiedź będzie niestety ujemna. Zdajemy sobie wszyscy sprawę, że w chwili obecnej pozostajemy z naszemi walorami daleko w tyle poza społecznością zachodu, i że należy z ogromnym wysiłkiem i pośpiechem te luki wyrównać. Mówić dziś prawdę, chociażby ona była gorzką, to kardynalny obowiązek obywatelski i patrjotyczny, gdyż tylko przez uświadomienie błędów można złemu zaradzić.

Weźmy dla przykładu wydajność pracy u nas, a np. u Francuzów. W geografji gospodarczej ziem Polski d-ra Weigta czytamy (str. 121), że plony pracy rolniczej, górniczej i przemysłowej przeciętnie na głowę jednego Francuza wynoszą 700 zł, podczas gdy na ziemiach polskich dochodzą zaledwie do wysokości 270 zł. Każdy, swój czy obcy, widzi z tego niezbicie, że Polak pracuje prawie trzy razy mniej od Francuza. To zjawisko nie zjedna nam zaufania zagranicy, która jest w ocenie swej i naszej pracy bezwzględną, surową i nie powoduje się żadnym sentymentem w swoich sądach do nikogo, a więc także i do nas.

Przykładów takich z różnych dziedzin można przytoczyć wiele. Brak nam zdolności do oszczędzania. Brak uzdolnionych fachowców w różnych gałęziach przemysłu. Odznaczamy się nieuzasadnioną chęcią błyszczenia. Mimo ciężkich warunków ekonomicznych, opilstwo święci formalny triumf. Oświata i kultura, którym towarzyszyły dobrobyt materjalny, stoją na bardzo niskim poziomie. Uświadomienie państwowe i obowiązek ponoszenia ofiar na cele tegoż państwa są minimalne, a samolubstwo i egoizm klasowy doszedł wprost do stanu chorobliwego.

Otwierać oczy na te błędy, dążyć do zmian w tym kierunku choćby drogą zdeterminowanej walki, to jedno z najważniejszych wskazań patrjotyzmu dnia dzisiejszego, który zmusza nas zstąpić z obłoków na ziemię i nauczyć się w pracy, znoju i trudach pokonywać trudności życia.

Gdyż nie poezją dnia wczorajszego, ani marzycielstwem wykuwa się dolę sobie i narodowi, tylko twardą i nieustępliwą walką o dobra moralne i materjalne zapewnimy sobie należne miejsce wśród ludów cywilizowanego Zachodu i najsilniej ugruntujemy nasz byt polityczny.

Geneza bolszewizmu.

Nikt lepiej od Arcybaszewa nie zna ideologji bolszewickiej. Ten świetny pisarz rosyjski, rozumiejący na wylot duszę rosyjskiego ludu, widział na praktyce wcielenie bolszewickiej ideologji w życie i obecnie w piśmie „Za swobodu" zdziera bezlitośnie z moskiewskiego czerwonego chamstwa maskę ludowej sprawiedliwości.

Szereg artykułów, jakie w tej sprawie poświęcił, jest wart, aby go przeczytali nie tylko pp. Mac Donald i Herriot, nie tylko sen. Borah, lub pp. Thugutt i „ksiądz" Okoń, ale i każdy z nas.

Bo w każdym z nas, jak i w p. Herriocie, siedzi głupkowaty djabeł, który podszeptuje: „Tak, bolszewicy są mordercy i oszuści, ale przecież lud rosyjski, czy wogóle „lud" na świecie był i jest gnębiony przez inne klasy, więc pomścił się wprawdzie po barbarzyńsku, ale taka już logika rewolucji"...

Gdy więc jakaś „plebejka" nadesłała teraz Arcybaszewowi list, w którym nie dziwiła się, że „bity po mordzie sołdat" w poczuciu krzywdy, „gwałcił potem generalskie córki", i że lud grabił Rosję poniekąd słusznie, — pisarz rosyjski dał naiwnej „plebejce", oczywiście wykształconej, taką odprawę:

„Czyż nie z przerażeniem i potępieniem patrzyły na czyny czerwonej armji setki tysięcy starych, osiwiałych włościan, ciemnych i przez całe życie znoszących pogardę i niesprawiedliwość szlachty i władz carskich? Tak, lud rosyjski był ciemny i nieuświadomiony. Lecz nie należy przesadzać.

Podczas bolszewickiej rewolucji Rosję zaludniali nie barbarzyńcy. Rosja była zabudowana licznemi cerkwiami i cokolwiekbądź można powiedzieć o naszych popach, przebaczaniu krzywd, o cierpliwości i o grzechu, — lud doskonale wiedział, że mordować, gwałcić i grabić nie wolno, nietylko pod groźbą katorgi, lecz i dlatego, że byłby to grzech.

„Prości, uczciwi chłopi i ich baby z boleścią obserwowali objawy „gniewu ludowego“ w postaci zwierzęcych morderstw i gwałtów, dokonywanych nad Bogu ducha winnemi córkami i dziećmi generalskiemi.

„Kto śmie twierdzić, że ci z ludu, którzy mordowali i gwałcili, sami własnym rozumem doszli do zasady zniszczenia „klasy wyzyskującej“?

„Czy to chłop krzyknął: bij burżuja!... grab nagrabione? Czy to chłop wynalazł „dyktaturę proletarjatu“? Czy to chłopi w dziesiątków lat wzywali do uchwycenia władzy, do bezpłatnego zaboru cudzej ziemi, do krwawej rzezi, do walki klasowej? Czy to najciemniejsi poszli pierwsi na zew bolszewików na grabież, morderstwa?

„Nie, pierwsi mordercy i grabieżcy byli to najinteligentniejsi z ludu: marynarze i robotnicy stołecznych fabryk, obeznani nietylko z zasadami moralności ludzkiej, lecz i z nauką socjalizmu!

„W nich obudzili zwierzęce instynkty właśnie wykształceni i inteligentni agitatorzy. To agitatorzy oszukali i shańbili lud.

„Nie naród spodlał sam, ale jego spodlono“.

„Plebejka“, jak i wielu poważnych publicystów, myli się, gdy sądzi, jakoby lud spodlał wskutek rządów „samodzierżawia“ i wskutek braku humanizmu w wykształconych warstwach. Nie, za rządów cara lud był ciemny, ale zadziwiał swoją cierpliwością, miękkością, dobrodusznością i serdecznością“.

„Lud został spodlony przez dzikie kaznodziejstwo o zagrabieniu dóbr materjalnych i o wściekłej walce klasowej.

„I być może, że spodli ono nietylko ciemny lud rosyjski... Nastąpi to wtedy, gdy zatryumfuje wszechświatowa rewolucja socjalna, o której marzą właśnie wykształceni i cywilizowani ludzie Europy“...

Tyle Arcybaszew.

A teraz uderzmy się w piersi: czy u nas rozmaici przywódcy „ludowi“, socjalistyczni i nawet poprostu radykalni nie wzywają stale, aby dziki goryl tłumu rzucił się na kulturę? Aby mordował, grabił i zabierał cudzą ziemię?

Stanowczo trzeba energji władz, aby temu obłędowi zapobiedz.

S. O.

Przysposobienie wojskowe we Francji a armja w przyszłości.

„Polska Zbrojna“ pisze: Zjednoczenie narodowe zrzeszeń wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego we Francji i w jej kolonjach zwołało przed kilku dniami w wielkim amfiteatrze Sorbony w Paryżu doroczne zebranie plenarne celem doręczenia nagród zyciężcom na konkursach okręgowych.

Na posiedzeniu tem obecny był prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej, przedstawiciele senatu, izby deputowanych, rządu, rady miejskiej, korpusu dyplomatycznego, a nadto wybitne osobistości cywilne i wojskowe. Zgromadzeniu przewodniczył minister wojny gen. Nollet.

Prezes Zjednoczenia p. L. Lattes podkreślił w przemówieniu swem konieczność wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego młodzieży francuskiej, którąby dzięki tym czynnikom przygotowana była do pokonywania wszelkich trudów, wszelkich braków, umiejąc jednocześnie wszystki poświęcić dla zawarowania ojczyźnie bezpieczeństwa i potęgi.

Następnie gen. Nollet przemówił w sprawie armji jutra.

Wojna r. 1914—1918 — powiedział mianowicie francuski minister wojny — wyłoniła w sposób zdecydowany naród zbrojny z pomiędzy społeczeństwa. Dowiodła też, że trzeba bardzo niedługiego czasu, by z cywila uformować żołnierza linjowego. Pozatem względy nieodparte natury politycznej, społecznej, ekonomicznej wreszcie uniemożliwiają utrzymanie pod chorągwiami zbyt armji czynnej. Zdaje się też, że wojna w przyszłości staczana będzie nie przy pomocy armji stałej, powiększonej o pewną liczbę rezerwistów, lecz przez samą masę rezerwy, stanowiącą istotną armję bojową.

Tej właśnie armji bojowej armja stała dostarczy dowódców w całości niemal podniesionych w hierarchji i w ilości wystarczającej dla pierwszych eszelonów kadr, jakich dostarczą rezerwy. Ciałem jednak istotnem armji bojowej, jej muskulaturą będzie cały naród, jaki ją wytworzy. Stąd doniosłą staje się sprawa, by to ciało właśnie było zdrowem, by ta muskulatura była silną, by wyćwiczenie mas, zakończone pewnym pobytem w pułku, zostało przed tym pobytem dobrze przygotowane przez zrzeszenia, a po pobycie utrzymywane w stałem napięciu.

W tem więc — konkludował gen. Nollet — praca zrzeszeń przysposobienia wojskowego jest właśnie warunkiem, umożliwiającym reorganizację wojska, której projekt rząd zamierza wkrótce złożyć ciałom ustawodawczym. Dzięki niej, też wzniesiony zostanie gmach mający być główną podwaliną bezpieczeństwa narodowego jedynie od narodu zależna, a jednocześnie nie nakładająca na kraj ciężarów wojskowych trudnych do poddźwignięcia. Zrealizowanie tego projektu umożliwi przytem skrócenie służby czynnej, która jednak musi być nie wstępem do tej reorganizacji, lecz jest wynikiem, a to by reforma, jak to sobie rząd zakłada, ani na chwilę nie osłabiła sił zbrojnych Francji.

Tak pracuje nasza sojuszniczka Francja a u nas — czyni się na tem polu nie wiele. Czas otrzeźwieć i wziąć się do pracy.

Emigracja jako czynnik zubożenia kraju.

Ile złotych wart jest człowiek?

Przy szacowaniu wartości najracjonalniej jest brać za podstawę koszty rzeczywiste. Biorąc pod uwagę stosunkowo niski przeciętny dochód, przypadający na głowę ludności w Polsce, można z dużą dozą prawdopodobieństwa powiedzieć, że wychowanie dziecka do lat 15 kosztuje 200 zł. rocznie, a od 15 do 20 lat, gdy częściowo na siebie zarabia, po 100 zł., czyli osobnik dwudziestoletni kosztuje 3,500 złotych i zachowuje tą wartość do mniej więcej 40 roku, poczem należy uwzględniać amortyzację.

Podobno we Francji pracuje około 50,000 naszych rodaków, czyli wypożyczyliśmy Francji 1,750,000,000 złotych, z których połowy napewno nigdy nie otrzymamy z powrotem.

Tej kalkulacji można przeciwstawić inną, a mianowicie, że emigranci przysyłają do kraju część zarobków i wpływają dodatnio na bilans płatniczy, tą drogą pokrywa w części swój deficyt, lecz wpływy z Francji nie przewyższają zapewne 50,000,000 zł. rocznie, co uwzględnimy przy dalszych kalkulacjach. Był okres przed wojną, gdy emigracja nadsyłała z Ameryki dość poważne sumy, lecz należy wziąć pod uwagę, że przysyłali przeważnie ci, którzy później powracali, takich zaś było stosunkowo niewiele, bo tylko 21 procent.

Wychowanie ludzi, których bezpłatnie odstąpiliśmy Stanom Zjednoczonym, kosztowało nas w ostatniem dwudziestopięcioleciu około 10 miljardów złotych. Ponieważ poważniejsza emigracja do Ameryki trwa nie 25, lecz przynajmniej 40 lat, dochodzimy do wniosku, po uwzględnieniu sum przesyłanych do krajuprzez rodaków, że podarowaliśmy Stanom Zjednoczonym, skromnie licząc, równoważnik 12 miljardów złotych.

Obecnie naturalny przyrost ludności w Polsce wynosi około 450 tysięcy osób rocznie, z których przeszło 100,000 po odchowaniu emigruje zagranicę, czyli, że organizm gospodarczy stale karmi, przyodziewa i kształci zgórą 2 miljony osób przeznaczonych na eksport bez żadnej rekompensaty. Jest to zbyt poważna pozycja w ogólnym budżecie, aby się nad nią nie zastanowić.

Dwa są tylko sposoby zapobieżenia temu nieprodukcyjnemu wydatkowi, a mianowicie, albo zmniejszyć przyrost naturalny (z tym poglądem nie mogliśmy się zgodzić — przyp. Red.), albo, co z punktu widzenia państwowego jest właściwsze, zwiększać warsztaty pracy w miarę wzrostu ludności i, zamiast darowywać ludzi, sprzedawać wytwory ich pracy, to jest eksportować towary.

Terytorjum nasze jest dość duże i dość szeroko uposażone od przyrody, aby pomieścić i wyżywić 60 miljonów ludności.

Brak nam środków wytwórczości, a raczej pieniędzy na ich nabycie, lecz lepiej importować kapitał, niż eksportować ludzi, gdyż nawet kilkaset miljonów złotych rocznie płaconych zagranicy tytułem procentów, nie odbije się tak ujemnie na ogólnym naszym bilansie, jak chroniczna emigracja, która w dodatku pozbawia kraj najbardziej przedsiębiorczych jednostek.



Z ŻYCIA ZWIĄZKU HALLERCZYKÓW

III. Walny Zjazd Związku Hallerczyków w Łodzi.

Jak to już poprzednio pisaliśmy, III Walny Zjazd Związku Hallerczyków odbył się w Łodzi w dniach 28 i 29 marca b. r.

W sobotę, 28 marca, o godz. 10,20 zrana przybył do Łodzi na stację Łódź-Kaliska Generał Broni Józef Haller. Na dworcu oczekiwali Generała Hallera: kompanja honorowa 28 p. Strz. Kan. ze sztandarem i orkiestrą, grupa weteranów, dowódca okręgu korpusu generał dywizji Jung wraz z szefem sztabu płk. Iwanowskim i korpusem oficerów artylerji, wice-wojewoda Łyszkowski, nadinspektor Policji Państwowej Wróblewski z inspektorem Izydorczykiem, prezydent miasta Cynarski, wiceprezes Rady Miejskiej dr. Garliński i Hallerczycy.

Po wyjściu Generała Hallera z wagonu muzyka odegrała hymn narodowy. Po przywitaniu się z przedstawicielami władz, generał Haller udał się autem na otwarcie zjazdu Hallerczyków, który odbywał się w Białej Sali Hotelu Manteuffla.

Zjazd zagaił o godz. 10 rano Prezes Związku J. Sierociński, proponując na przewodniczącego posła Zamorskiego, co zebrani jednomyślnie przyjęli.

Poseł Zamorski w gorących słowach powitał zebranych i udzielił głosu prezesowi Sierocińskiemu, który odczytał nadeszłe depesze gratulacyjne. Nastąpiły mowy powitalne. Przemawiali: gen. Bogusz-Szytko imieniem emerytów wojskowych, przedstawiciel Sokolstwa i przewodnicząca sekcji żeńskiej przy Związku Hallerczyków, p. Mazarakowa.

O godz. 11,15 na Zjazd przybył Generał Haller w towarzystwie Generała Junga i miejscowych władz z wojewodą Darowskim na czele. Poseł Zamorski wita generała krótkiemi słowami, poczem głos zabrał Generał Haller.

Generał Haller w swem przemówieniu zwrócił uwagę zebranych na przypadającą 900-letnią roczni-

cę koronacji króla Bolesława Chrobrego, dalej nawoływał do podniesienia wysiłków w kierunku pracy narodowej, by wzmocnić tem nasze położenie międzynarodowe. Przemówienie swe zakończył okrzykiem: „Najjaśniejsza Rzeczpospolita niech żyje!“

Po tem przemówieniu kolejno witają Zjazd: pan wojewoda Darowski, prezydent miasta Łodzi Cynarski, przedstawiciele: Związku Oficerów Rezerwy — płk. Dienstl - Dąbrowa, Tow. Przyjaciół Francji — p. dr. Konicz, Związku Dowborczyków — p. Miłosz, Tow. „Rozwój“ — p. Nawrocki.

Po tych przemówieniach Zjazd przystąpił do wyboru komisyj zjazdowych, celem opracowania wniosków uczestników Zjazdu.

Sesję zjazdową popołudniową zagaił o godz. 4-ej przewodniczący poseł Zamorski, która trwała aż do ukończenia. O godz. 9,30 wieczorem przewodniczący St. Pałaszewski zamyka obrady odśpiewaniem „Nie rzucim ziemi“.

O godz. 9-ej odbyło się uroczyste przedstawienie w Teatrze Miejskim, po którem Rada Miejska w swych salach urządziła raut dla uczestników Zjazdu. Przedstawienie i raut zaszczycili swą obecnością Generałowie Haller i Dowbór-Muśnicki.

W niedzielę, 29 marca, w katedrze łódzkiej odbyło się uroczyste nabożeństwo i poświęcenie sztandaru Łódzkiej Chorągwi Związku Hallerczyków. Po nabożeństwie, pomimo marnej pogody, uczestnicy Zjazdu przedefilowali przed Gen. Hallerem i ruszyli pochodem przez miasto do sali Tow. Kredytowego, gdzie odbyło się wbijanie gwoździ w drzewce poświęconego sztandaru i okoliczne przemówienia.

Po defiladzie przedstawiciele władz wojskowych i innych oraz Związku Hallerczyków i chrzestni sztandaru byli podejmowani śniadaniem przez J. E. Ks. Biskupa Tymienieckiego, poczem całe towarzystwo udało się na uroczystą akademję do sali Tow. Kredytowego.

* * *

Historyczna chwila.

Przewodniczący Związku Hallerczyków, J. Sierociński, zwraca się do Generała Hallera z następującą prośbą:

Chcąc uczcić zasługi obecnego tu Generała Dowbór - Muśnickiego, Związek Hallerczyków prosi Pana Generała, jako swego honorowego prezesa, o wręczenie Panu Generałowi Dowborowi znaczka sługi Związku“.

Generał Haller, biorąc znaczek z rąk kpt. Sierocińskiego, z temi słowami zwrócił się do Generała Dowbór-Muśnickiego:

„Panie Generale! Choć różnemi drogami szliśmy, zawsze do jednego celu — wyzwolenia Ojczyzny. Dziś, wręczając Ci tego skromnego orzełka, który jest naszym emblematem — dajemy wyraz uznania dla Twej pracy. Organizacje nasze, stojące na straży interesów Ojczyzny i będące organizacjami zupełnie apolitycznemi, idąc razem, tworzą siłę dla dalszej pracy ku chwale Ojczyzny.

W czasie pokoju zadaniem naszem — skromna mrówcza praca narodowa, w czasie wojny zawsze jesteśmy gotowi stanąć na wezwanie do obrony.

Przez przyjęcie tego znaczka Generale, Dowborczycy i Hallerczycy jednoczą się pod hasłem: „Bóg i Ojczyzna!“

„Generał Dowbór-Muśnicki niech żyje!“

Okrzyk ten powtórzyli zebrani. Generałowie się ściskają. Generał Dowbór z wielkiego wzruszenia nie może długo znaleźć słów.

„Generale! Panowie Hallerczycy! Zaszczyt, który mnie spotyka, jest wyrazem Waszych uczuć do Związku Dowborczyków, który, jak i Wy, służąc Polsce, nie słowami, a krwią i skromną, cichą pracą, zawsze gotowi do ofiar dla Ojczyzny, nie żądamy nagrody. Panowie, w jedności siła!“

Zebrani wznieśli szereg okrzyków na cześć obecnych generałów, związków itd.

Następnie mjr. Ligocki odczytał uchwalone rezolucje.

Postanowiono wysłać depesze do: 1) Prezydenta Rzeczypospolitej 2) płk. Millera, prezesa „Fidac‘u“, oraz 3) płk. Śliwińskiego, prezydenta miasta Bydgoszczy, jako wiceprezesa „Fidac‘u“.

Pozatem Zjazd składa hołd Generałowi Hallerowi i wita w swym gronie Generała Dowbór - Muśnickiego.

Na tem zakończono oficjalną część Zjazdu.

O godz. 4 po południu odbył się wspólny obiad, podczas którego przemawiali Generał Haller i Dowbór-Muśnicki, posłowie i liczni goście.

Szczegółowe sprawozdanie będzie podane w następnych numerach „Hallerczyka“. **Ob.**

Chorągiew Lubelska Związku Hallerczyków.

Wielka uroczystość ku czci Generała Broni Józefa Hallera w dniu 19 marca w Lublinie.

W dniu 19 marca b. r. w Lublinie odbyła się uroczystość z okazji imienin Generała Broni Józefa Hallera, urządzona przez Chorągiew Lubelską Związku Hallerczyków.

Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem w kościele katedralnym o godz. 9 rano. Mszę św. odprawił ks. Wiśniewski. O godzinie 7 wieczorem w sali T-wa Sokół, odbyła się uroczysta Akademja, którą zagaił pan F. Moskalewski przemówieniem i odczytaniem depeszy wysłanej Generałowi Hallerowi w dniu Jego imienin przez Chorągiew Lubelską Zw. Hallerczyków i zakończył okrzykiem na cześć Rzeczypospolitej Polskiej i Generała Hallera, ten okrzyk „Niech żyje“ powtarzali wszyscy obecni na sali z entuzjazmem. A muzyka Sokoła odegrała „Jeszcze Polska nie zginęła“. — Następnie wygłosił odczyt p. Bolesław Dukszta, Hallerczyk z formacji amerykańskich, o Generale Hallerze, Jego idei i bohaterskich walkach stoczonych przez Armję Błękitną polską na polach Francji i Polski. (W odczycie swym prelegent przedstawił początek Zw. Hallerczyków, którzy w myśl ideałów powstańczych od 1863 roku przygotowywali się do tej krwanej rozprawy ze swemi zoborcami, przedstawił życiorys Gen. Hallera i przebieg walk jakie on stoczył ze swoją II. Karpacką Brygadą, z Moskalami, Austrją i Niemcami.

Druga część akademji składała się z produkcji artystycznych, wokalno-muzycznych, p. Kalinowski odśpiewał kilka pięknych Arji ludowych i wojskowych a orkiestra „Tombor-Mandolinistów“ odegrała szereg pieśni, pan Suchodolski zaś wygłosił deklamację „II Karpacka Brygada“. Uroczystą Akademję zamknął p. Moskalewski podziękowaniem i odśpiewaniem „Roty“, Konopnickiej, a muzyka Sokoła marszem. Dzień Imienin naszego Wodza Generała Broni Józefa Hallera godnie uczciła Polonja Lubelska i Młodzież. Jestto dowodem sympatji dla „Błękitnego Generała“.

Placówka Ostrów.

Protokół nr. 27.

Dzisiejsze zebranie plenarne zagaił, drh prezes Krzyszofiak o godz. 1 po poł. na sali „Domu Katolickiego" następującym porządkiem obrad: 1) Zagajenie; 2) Odczytanie protokółu z ostatniego zebrania; 3) Komunikaty Zarządu: a) odczytanie listów i komunikatów, b) sprawa gotówki Spółdzielni Placówki, c) sprawy lokalne; 4) Wybór delegatów na doroczny Walny Zjazd Związku Hallerczyków mający się odbyć w Łodzi dnia 28 i 29 marca br.; 5) Dyskusja; 6) Wnioski i wolne głosy; 7) Zamknięcie. Powyższy porządek obrad został przyjęty bez zmian. Następnie drh. skarbnik Janiak Fr. w zastępstwie drh. sekretarza Misiewicza odczytał protokół z ostatniego zebrania, w którem nastąpiła poprawka, w miejsce zł. 3,50 ma kosztować zł. 4.00 wykonana czapka związkowa przez tut. Zarząd. Przyczem przystąpiono do p. 4 i to Komunikatów Zarząd: a) odczytano okólnik Zarządu Chorągwi Wielkopolskiej m. in. zawiadomienie o Walnym Zjeździe w Łodzi, o wnioskach na odznaki „Mieczy Hallerowskich", o czapkach Związkowych, o książce, o Józefie Hallerze i o Muzeum Wojskowem D. O. K. nr. 7 w Poznaniu, gdzie znajduje się oddział naszego Związku i gdzie można składać wszelkie pamiątki z Armji Gen. Hallera, który to oddział uroczyście otwarty w dniu 8. 3. 1925 r. w obecności licznych przedstawicieli Związku. W sprawie Walnego Zjazdu postanowiono w p. 4 wybrać delegatów na takowy, sprawę wniosków na odznaki „Mieczy Hallerowskich" postanowiono zbiorowo takowe odsyłać do Zarządu Chorągwi. W sprawie czapek związkowych postanowiono zapytać Zarząd Chorągwi czy dostarczyć może nam takowe do dnia 3-go maja br., wówczas placówka postara się nabyć takowe w Z. Ch. a o ile nie może dostarczyć na dzień3. 5. br. placówka zamówi takowe na miejcu. Również postanowiono nabyć 1 książkę o Józefie Hallerze.

W p. 4 przystąpiono do wyboru delegatów na Walny Zjazd do Łodzi i to zostali wybrani na dzień 28. 3. br. drh. prez. Krzysztofiak, który będzie reprezentował cam całą placówkę w pierwszy dzień obrad, na drugi dzień zostali wybrani dodatkowo drh. drh. Wawrzyniak Fr., Jajczyk Stanislaw i Niwitecki Stanisław, którzy postanowili jechać na Zjazd na własny koszt, dla powyższych delegatów uchwalono djety 7 zł. na delegata. Poruszono następnie sprawę pożyczki Sp. znajduje się w konkursie Zarząd otrzymał pismo ze Sądu Powiatowego od przewodniczącego Masy Konkursowej wobec należnej naszej Placówce sumy zł. 536 przyznane zostało zł. 350, wobec tego uchwalono aby Zarząd odebrał przyznaną Placówce sumę aby uniknąć większych kosztów sądowych, mogących wyniknąć ze skargi wniesionej przez Placówkę.

We wolnych głosach zabrał głos drh. Janiak Teodor, zaznaczając, aby na Walnym Zjeździe poruszono sprawę przynależenia naszego Związku do Związków Wojskowo-Wychowawczych ponieważ oficer instrukcyjny niema żadnych danych o przynależeniu do takowych. Następnie zabrał głos drh. prezes w sprawie zakusów pruskich, którzy dążą do rewizji granic Zachodnich Polski, jak również i do sprowokowania nas wobec tego dzisiejsze zebranie uchwaliło niniejszą rezolucję, która ma być ogłoszona w organie związkowym „Hallerczyk".

1. Na zebraniu Związku Hallerczyków Placówki Ostrów w dniu 22. 3. 1925 r. uchwalono wobec zakusów Niemiec w sprawie rewizji granic zachodnich Polski, następującą rezolucję;
2. Wzywa się Rząd, aby poruszył wszystkie czynniki, by zapobiec przeciwko naruszeniu granic zachodnich Polski, które zostało odzyskane kosztem życia i krwi naszych braci, którzy przecierpieli długoletnią niewolę, pod jarzmem Niemiec;
3. W razie niebezpieczeństwa my wszyscy Hallerczycy stajemy na wezwanie Rządu naszego w obronie naszych granic i braci, których bronić będziemy do ostatniej kropli krwi w imię hasła „Dla Ciebie Polsko i dla Twej chwały".

Przyczem drh. prezes zawiadomił zebranych, że w dniu imienin został wysłany telegram do Zarządu Gł. do Warszawy dla Gen. Józefa Hallera z powinszowaniem. Po wyczerpaniu porządku obrad drh. prezes zamknął dzisiejsze zebranie hasłem: „Czołem!"

Roman Krzysztofiak, prezes. **Misiewicz**, sekretarz.

Z CAŁEJ POLSKI

Boją się polskiej amunicji.

Gdańsk. W związku z wiadomościami o wybuchu amunicji w porcie Rio de Janeiro, prasa tutejsza od kilku dni rozwija olbrzymią kampanję przeciwko budowie polskiego portu dla wyładowania amunicji i materjałów wojennych na Westerplatte w Gdańsku, apelując przytem do Ligi Narodów, aby zrewidowała swoją uchwałę, zezwalającą na budowę tego portu.

Fałszerz banknotów polskich — ujęty.

Warszawa. Z Gdańska donoszą, że aresztowano tam niejakiego Mordkę Mrozowskiego, który puszczał w obieg fałszywe 5-złotowe banknoty polskie.

Budowa polskiej floty handlowej.

Gdynia. Organizacje zajmujące się sprawą utworzenia polskiej floty handlowej, oraz sfery rządowe, które wspierają tę akcję, zierają oferty od stoczni gdańskiej na budowę typowego statku handlowego.

Wzmożenie ruchu nad budową portu tutejszego zaniepokoiło gdańskie sfery gospodarcze, które rozumieją, że port w Gdyni może wytworzyć Gdańskowi znaczną i groźną konkurencję.

Dzienniki pełne są ostrzeżeń, a nawet napadów na prasę polską za jej kampanję żądającą bojkotu Gdańska.

Różne firmy gdańskie należące do Polaków, oraz firmy z Polski badają grunt w Gdyni, aby się tam przenieść.

Wycieczka dziennikarzy zagranicznych w Polsce. Zwiedzili Gdańsk i Gdynię.

Grupa dziennikarzy zagranicznych, która przybyła do Polski specjalnie celem zbadania na miejscu obecnej sytuacji w Gdańsku zwiedziła i port w Gdyni, Wycieczka ta została zorganizowana przez p. Leona Chrzanowskiego, korespondenta P. A. T. w Rzymie. Goście nasi bawili dwa dni w Gdańsku, podejmowani przez p. min. Strasburgera i zapoznali się szczegółowo ze stanem portu gdańskiego, poczem zwiedzili nowy port polski w Gdyni. Przejeżdżając przez Warszawę do Gdańska, nasi goście zatrzymali się w Warszawie na kilka godzin i podejmowani byli przez p. min. Janickiego.

Gwałtowne wichry halne.

Z Zakopanego donoszą, że od kilku dni panują tam niepamiętne nawet przez najstarszych mieszkańców Zakopanego wiatry halne, które wyrządzają wielkie szkody, wyrywając kominy, zrywając dachy, obalając płoty, słupy telegraficzne, telefoniczne i elektryczne. Połączenie telefoniczne z Morskiego Oka zostało zerwane w kilkudziesięciu miejscach. Wogóle połowa aparatów telefonicznych jest nieczynna. Jedynym pożytecznym skutkiem wiatru halnego jest gruntowne zburzenie starych łazienek za pocztą, w czem wiatr halny wyręczył ich właściciela i przyczynił się do położenia kresu jednej z najbardziej szpecących śródmieście Zakopanego ruder przedwojennych.

ZE ŚWIATA

Podziemne aerodromy francuskie w Normandji.

L o n d y n. „Daili Chronicle“ opisuje plany i sposób budowy francuskich aerodromów strategicznych w Querqueville, położonem o 5 mil na północny-zachód od Cherbourga.

Ekspert francuski zapewnił, że budowa tych aerodromów nie ma żadnych celów agresywnych — lecz jest wykorzystaniem tych naturalnych warunków, jakie dają półwysep Normandzki dla kontroli kanału.

Prawdopodobnie nie będzie żadnych widzialnych budynków i wszystkie urządzenia zostaną umieszczone w podziemnych kazamatach zabezpieczonych przed bombami.

Wzlot aparatów nie będzie się odbywał z ziemi, lecz z podziemnych komór, z których aeroplan zostanie wystrzelony do góry. Samoloty będą załadowane na wozy poruszające się na szynach. W dolnych komorach nastąpi eksplozja prochu strzelniczego, która z olbrzymią siłą wyrzuci ruchomą ścianę, przed którą znajduje się wóz z aeroplanem. Wskutek ciśnienia powietrza otrzymają propellery na tyle ruchu, aby wydostać aparat na powierzchnię ziemi.

Śląsk przeciw paktowi gwarancyjnemu.

K a t o w i c e, 12. 3. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu śląskiego, przyjęto m. i. rezolucje wszystkich klubów polskich, skierowaną przeciwko propozycji niemieckiej w sprawie paktu gwarancyjnego. Nagłość odnośnego wniosku uzasadniał poseł Kempka (bl. nar.). Rezolucja ma brzmienie następujące: Wobec ujawnionego ostatnio niebezpieczeństwa, grożącego zachodnim granicom Polski, a w szczególności wobec ujawnienia dążeń do oderwania G. Śląska od Polski i w ten sposób unicestwienia wolności ludu polskiego, sejm śląski w imieniu ludności śląskiej uroczyście oznajmia, że lud polski na Śląsku stać będzie wiernie przy sztandarze Rzplitej i upoważnia rząd do zakomunikowania mocarstwom interesowanym, że lud śląski zdecydowany jest siłą bronić się przeciw zakusom naruszenia granic i ufny w zwycięstwo dobrej sprawy gotów jest tak samo złożyć ofiarę krwi na ołtarzu Ojczyzny, jak codzienną mrówczą swą pracą stara się utwierdzić podwaliny Jej budowy.

Przeciwko nagłości tego wniosku przemawiał w imieniu klubu niemieckiego pos. dr. Pant.

Kongres wychodźtwa Polskiego w Ameryce.

W Detroit odbył się wielki Kongres wychodźtwa polskiego dnia 17 lutego br. Kongres podług programu ogłoszonego już wcześniej, radził między innemi nad następującemi sprawami:

Naturalizacja, jako problem równouprawnienia Polaków i stosunek wychodźtwa do Polski: Obrona interesów wychodźtwa w dziedzinie politycznej i administracji tego kraju; ochrona języka polskiego w nauczaniu początkowem szkoły parafjalnej lub prywatnej, w kościele oraz organizacjach polskich; równouprawnienie kleru polskiego; założenie katedry języka, historji i literatury polskiej na Uniwersytetach amerykańskich; kwestja strat poniesionych przez wychodźtwo dla Polski i inne.

Zwołując Kongres wychodźtwa polskiego w Ameryce Rada zarządzająca Wydziału Narodowego wydała odezwę w tej sprawie, która między innemi głosi:

„Wychodźtwo polskie w Ameryce żyło do tej pory ideą niepodległości Polski, dla niej organizowało się, dla niej składało ofiary z życia i mienia. Dzisiaj już tego nie potrzeba. Niepodległa Rzeczpospolita Polska stanęła między narodami świata jako pierwszorzędne państwo i mocarstwo, któremu znowu przeznaczono rolę przedmurza kultury chrześcijańskiej i obrony cywilizacji europejskiej. Dzisiaj Polska musi pamiętać o swych dzieciach w rozprószeniu, by się utrzymały przy wierze, tradycji i języka Ojców i Matek, by choć w przybranej ojczyźnie, kochając nowe osiedle swego życia, nie zapominały o kołysce narodu o ojczyźnie za oceanem.

Dziś więc nowa epoka. Dziś po odbudowaniu Polski, wzmocnić musimy podstawy całokształtu życia polskiego wychodźtwa, by nie zginąć w morzu rozmaitych narodowości amerykańskich, nie dać się zepchnąć na szary koniec, wyprzedzić przez inne kultury, ale owszem dorzucić swoją pracę, rozum i wolę do całości, rosnącej w powagę, wpływ, bogactwa i potęgę nacji amerykańskiej.

Wychodźtwo polskie w Ameryce ma do tego prawo: dawało bowiem i daje wysiłek mięśni i mózgu do poruszenia wielkiej machiny życia amerykańskiego: dawało swą krew i mienie na walkę o pokój dla całego świata — dziś domaga się za to sprawiedliwości, równorzędności i równouprawnienia w każdej dziedzinie życia tak duchowej, materjalnej, jak i politycznej“.

Badanie raportu komisji kontrolnej.

W i e d e ń. „Abendblatt“ donosi z Paryża: Międzysojuszniczy komitet wojskowy w Wersalu zebrał się pod przewodnictwem marszałka Focha celem ponownego zbadania sprawozdania wojskowej komisji kontrolnej. Prace komitetu potrwają co najmniej 8 dni.

Chodzi tutaj o wypracowanie dwóch ważnych raportów uzupełniających, a mianowicie:

1. O zestawienie najważniejszych przewinień niemieckich na podstawie sprawozdania wojskowej komisji kontrolnej i

2. o projekt ostatecznego przeprowadzenia rozbrojenia Niemiec według poglądów marszałka Focha i jego kolegów. Ta druga kwestja jest najważniejszem zadaniem komitetu.

Konferencja Ambasadorów zbierze się prawdopodobnie w dniu 13 marca. W międzyczasie rząd francuski podejmie akcję w tym kierunku, aby sprawozdanie wojskowej komisji kontrolnej zostało możliwie jaknajszybciej ogłoszone.

Setki tysięcy emigrantów opuszcza ojczystą ziemię polską.

Według danych Urzędu emigracyjnego, wychodźtwo z Polski wyrażało się w roku 1921 cyfrą ogólną 107.046 osób, w roku 1922 — 77.376 (w tem 47.073 za ocean), zaś w roku 1923 wzrosło do cyfry 127.421 osób.

Szybkości okrętów wojennych.

Przy budowie okrętów wojennych kwestje ekonomiczne, mając znaczenie drugorzędne, ustępują miejsca potrzebom faktycznym, z których jedną jest szybkość. Wobec tego, szybkości okrętów wojennych stale wzrastają. Tak, krążownik linjowy „Tiger“, którego budowę rozpoczęto w roku 1912, miał szybkość 28 mil. Cztery lata później krążownik „Hood“ (43.000 t.) osiągnął szybkość 32 mil. Wybudowane równocześnie z nim krążowniki linjowe „Renown“ i „Repulse“ dały również 31-32 mile.

Obecnie współzawodnictwo w szybkości zostało przeniesione na lekkie krążowniki i torpedowce. Najszybszemi krążownikami są obecnie okręty amerykańskie typu „Omaha“, które osiągnęły szybkości 35 mil.

Pelagja Kłossowska.

Z krwawych dni.

Skwarny dzień lipcowy. Słońce żarem zalewa pola Wołyńskie, pokryte bujnem żytem i pszenicą, łagodny wietrzyk lekko kołysze pełne kłosy, gdzieniegdzie z pośród zboża wychylają się szafirowe bławatki i czerwone maki.

Grupa z kilkunastu sosen złożona przesyca powietrze wonią rozegrzanej żywicy. Za sosnami wąska, srebrzysta rzeczka wije się wężowemi skrętami i płynie w dal, aż poza stację Ołykę.

Ptaszyny rade z życia śpiewają wesoło, wznosząc pod niebiosa pieśń dziękczynną.

Na świecie tak błogo, pięknie, spokojnie, że serce ludzkie tylko radować by się powinno. Jednak na tem przecudnem tle dzieje się coś co narusza prawa i spokój przyrody.

Przed godziną wrzała tu bitwa między oddziałem kawalerji bolszewickiej, a karstką Polaków z wykolejonego pociągu pancernego.

Walka była krótka, ale zacięta. Pozostałych żołnierzy wzięto do niewoli, zaś oficerów ciężko ranionych i zabitych zostawiono na placu boju.

Wśród dojrzewającego zboża i jaskrawych kwiatów — leży pięć ciał ludzkich, na wpół ubranych, broczących krwią. Dwa z nich martwe, sztywne, wyciągnięte. Trzy dają jeszcze znaki życia, od czasu doczasu jęki dobywają się z ich piersi.

Jednemu z rannych krew sączy się z ust i przebitego boku. Śmiertelna bladość pokrywa jego oblicze. Z wysiłkiem otwiera oczy na chwilę i znów zamyka ciężkie powieki. Oczy ma senne... senne... zamglone.

Drugi ciężko raniony w głowę — leży twarzą do ziemi. Chwilami całym jego ciałem wstrząsa drganie konwulsyjne.

Trzeci ma kilka ran na ciele, ręce porąbane, jedno oko wybite i dolną szczękę strzaskaną. Wszystkie te rany choć bardzo bolesne, jednak nie dają nadziei prędkiej śmierci.

Słońce tak strasznie pali, promienie jego wżerają się w krwawiącą ranę w oku. Co za ból!... co za ból niczem nie zrównany!... Za co takie męki znosić trzeba? Przecież życie jego było nieustanną pracą i poświęceniem dla Ojczyzny. Nikomu nic złego nie uczynił, a męczy się niby najgorszy zbrodniarz. Gdyby choć można było skryć się od paląće słońca!... Bezwładnemi rękami młodzieniec dopomóc sobie nie może, więc wije się z bólu i porusza jasnowłosą głowę o wypukłem czole, jakby chciał wyżłobić jamę w ziemi, by się w niej pogrążyć i rany swoje skryć przed palącem słońcem.

Pić mu się chce... jak jeszcze nigdy w życiu... za kilka kropel wody oddałby natychmiast resztki dogasającego życia. Ach, wody... wody!...

Któż mu ją poda?... jedynym okiem widzi dookoła tylko ziemię, niebo i martych lub konających towarzyszy. Wśród głębokiej ciszy słyszy ciche urywane jęki. „Kto żyje?“ Szepce wreszcie bezzębnemi ustami, silnie krwią broczącemi. Nikt mu nie odpowiada, tylko jedno z ciał zadrgało nagle, ręka uniosła się na chwilę ku niebu i opadła.

Znikąd pomocy... niema nadziei... nikt tu nie przyjdzie... czy długo jeszcze?

Ranny z wysiłkiem uniósłszy nieco głowę, skrwawionemi ustami chwyta liść jakiegoś chwastu rosnącego tuż obok. Wilgotny liść ulgę mu przynosi, orzeźwia i łagodzi straszną mękę pragnienia.

Następuje chwila wytchnienia.

Wspomnienia z całego życia prześlizgują się w jego mózgu...

Szybko... szybko... jak obrazy niknące na ekranie. Idą naprzód niby z bajki cudownej chwile przeżytego dzieciństwa, gdy rodzice strzegli każdy krok jego i gdy wśród pieszczot matczynych było mu tak dobrze. Potem przesuwają się wspomnienia pierwszych lat młodzieńczych, gdy chciwie czerpał ze źródeł mądrości i snuł plany ludzkość zbawić mające... Ach! pocóż oderwano go od tej nauki, by teraz pławił się w krwi własnej i bliźnich swoich.

W tem zdaje mu się, że widzi przed sobą smutne oczy ukochanej dziewczyny... jak chce się żyć!... Za chwilę będę ju martwy, a jednak na świecie wszystko pozostanie po dawnemu. Słońce tak samo świecić będzie pory roku w dalszym ciągu będą się zmieniały, piękno przyrody dalej istnieć będzie. Ale już nie dla mnie... nie dla mnie. Pustka ciemno, głucho... i już nic... nic...

Coś niby słup graniczny majaczy mu się przed oczyma. Patrzy w około, wzrok wytęża jakgdyby chciał zapamiętać wszystko... wchłonąć w siebie.

I naraz otucha wstępuje w jego serce, w mózgu robi mu się jakoś dziwnie jasno... nowe horyzonty otwierają się przed nim... „Nie, nie — to nie koniec, to tylko przejście z jednego istnienia do drugiego“. Teraz już wszystko rozumie, lęk opuszcza go, a miejsce jego zastępuje cicha rezygnacja.

„Byle już prędzej“... ale czas płynie powoli, zdaje mu się, że słońce stanęło w swym biegu i nie zejdzie dziś z widnokręgu.

Tak strasznie źre rany, tak jaskrawo świeci wprost w jedyne pozostałe oko... co za męka!... czy długo jeszcze?..

Przed chwilą jeszcze żal mu było uchodzącego życia. Ale teraz już nieczego nie pragnie. Byle prędzej... byle prędzej już przyszedł ten koniec. Tak mu słabo... wszystko go boli, jest taki strasznie, strasznie zmęczony... a to słońce gorejące tak mu się daje we znaki.

Setki mrówek wypełzło z pod ziemi i przebiegają w różnych kierunkach po jego zbolałem ciele, komary znęcają się nad jego ranami.

Wreszcie słyszy jakieś kroki — może to ratunek?

Otwiera zmęczone oczy, lekko podnosi głowę i patrzy. To nie człowiek, to pies zbliża się ku niemu. Olbrzymie czarne, kudłate psisko zatrzymało się przed nim z wyszczerzonemi zębami. I snać poznawszy jeszcze żyjącego pobiegł dalej.

Pies odsedł i znów ranny pozostał sam. Samiuteńki.

Towarzysze jego już nie dają znaku życia. Liść usechł wśród spieczonych jego warg. Ból... ból szalony rwie poszarpane członki.

„Dlaczego jest tak trudno umrzeć? Jakże jest straszną męka pragnienia“. Pali go zewnątrz i w środku pali. Ach, to słońce... to słońce...

Niegdyś będąc dzieckiem — biegał po łąkach, ku słońcu radośnie wyciągając rączyny. Dziś przeklina to słońce, co pali i nie daje mu umrzeć spokojnie Czemuż je żadna chmura nie skryje, niebo takie szafirowe, pogodne.

„Wody... wody...“ od czasu do czasu szepcą usta spragnionego.

Zmęczonemi oczyma widzi w około siebie czerwoną ziemię i zakrwawione źdźbła zboża. Krew jego zmieszana z krwią towarzyszy we wgłębieniu ziemi utworzyła dużą zaschniętą plamę.

„Ile krwi... ile krwi... i poco to wszystko?“ Coraz mu słabiej, myśli plączą się, jakoś tak dziwnie, niby sen, niby majaczenia.

Wszystko trwa tak długo. I pocóż tak długo? Komu to potrzebne, by się tak męczył?

Słońce już mniej piecze, ale ranny w ustach wciąż czuje żar i rany tak bolą, jakby je kto przypiekał ogniem.

Krwawa kula słoneczna jest już niżej — tak jaskrawo wydziela się z szafirowego tła nieba i świeci wprost w oko rannemu, świdruje mu w mózgu.

W tem słychać jakiś chałas... to oddalony tętent konia. Kłąb kurzu zbliża się ku pobojowisku... coraz bliżej.

Z pośród kurzawy wyłania się postać na koniu.

„Może to zbawienie?“... Ostatnia iskierka nadziei zapala się w mózgu konającego.

Przybysz zatrzymuje się, zeskakuje z konia. „To wróg“. Szabla jego połyskuje w promieniach zachodzącego słońca. Obchodzi trupy, ogląda je, szuka czegoś po kieszeniach. Twarz jego dzika, o grubych rysach i szerokich szczękach.

Podchodzi ku rannemu. Para czarnych, okrutnych oczu patrzy nań przenikliwie. Trwa to sekundę.

„Nado jeho pakończyt“ szepcą usta wroga. Szabla połyskuje w powietrzu, jeszcze jeden piekielny ból i męczennik wyciąga się ostatnim ruchem.

Jedyne oko zadrgało na chwilę... już się nie zamyka, lecz powoli pokrywa się mglistą powłoką. Zanika świadomość w mózgu, który przed chwilą jeszcze gorzał od natłoku myśli.

Słońce zaszło już zupełnie. Sosny szumią i roztaczają w około orzeźwiający aromat, kwiaty z pośród zboża wychylają swe główki i otrząsają ze swych płatków rubinowe krople krwi.

Nic się w świecie nie zmieniło... tylko jedno wielkie życie stoczyło się w przepaść wieczności. Jasny duch uleciał gdzieś w przestrzeń, zdala od ciężkich trudów, mąk, łez nienawiści.

Jakaś smutna ptaszyna zanuciła pieśń. W oddali umilkł tętent kopyt końskich.

Na miejscu zbrodni zostało pięć wyciągniętych, sztywnych trupów i wielkie kałuże krwi, w których długo jeszcze przeglądały się ostatnie promienie słońca.

Dnia 6 lipca 1920 roku zginęli w ten sposób: Por. Artur Grabowski ,por. Dobrosław Kossowski, ppor. Bogdan Jabłoński, podchor. Paweł Hadrjan, podchor. Michał Sieradzki.

Dopiero w październiku 1922 roku zwłoki ich zostały przeniesione na pobliski cmentarz Ołycki.

Na ładnym i dobrze utrzymanym cmentarzu w Ołyce, wśród drzew i krzewów smutnie kwilą ptaszyny, a wiatr szumi groznie, wstrząsając korony starych sosen.

Pozatem cisza śmiertelna... grobowa.... jak zwykle na cmentarzu. Rzadko tylko narusza spokój nieboszczyków przybycie nowego sąsiada zmęczonego cierpieniem, lub nagle wypadkiem jakimś odtrąconego od uczty życia.

Czasem przesuwają się tu cicho i ponuro jakieś postacie, lub stoją długo ze wzrokiem utkwionym w mogiły ukochanych, a myśli ich błądzą gdzieś daleko, poza granice życia doczesnego.

W głębi cmentarza, na lewo, jest kącik, w którym leżą zwłoki poległych w obronie Ojczyzny. Skromne krzyżyki drewniane, świerki i kwiaty wznoszą się nad tą wspólną mogiłą.

Śpijcie w spokoju. Wieczny spokój umarłym.

Edward Ligocki.

Z dni żołnierskich Hallerczyka Józefa Kaczmarka.

Służbę w armji niemieckiej rzadko kto z uśmiechem wspomina. Różnie bywało; ciężko i źle, aż wszyscy djabli brali człowieka — to znów cokolwiek lżej, gdzieś na etapach, czy w jakim kącie bezpiecznym, gdy się udało nałgać, co się zmieści, i na jakiego poczciwego Regimentsarzta trafić szczęśliwie. Byli i tacy, co przez cztery lata sprytnie się dekować umieli, nawet niedaleko od domu, w jakimś Wrocławiu, czy w innym Królewcu. Naogół jednak smutno było i źle. Ale nie najlepiej miał napewno Jasiek Kaczmarek z Janówca, syn zamożnych rodziców, którzy trzymali pierwszorzędny gościniec naprzeciwko kościoła.

W pierwszych miesiącach wojny było jeszcze można wytrzymać. Wkręcił się Jasiek do kancelarji pułkowej, a że po niemiecku mówił, jak szwab rodowity, więc siedział w Cassel, Bóg wie jak daleko od frontu, i nikomu nawet w głowie nie było pytać go, skąd pochodzi i jak tam właściwie jest z miłością Vaterlandu szwabskiego. Później pchnięto go wraz z innymi do Charleville, gdzie się wówczas mieściła G. H. Q., kwatera główna, razem ze wszystkiemi telegrafami bez drutu, biurami, amtami, amcikami i z samym Wilusiem. Było tam i ministerstwo wojny i mieszkanie kanclerza Bethmanna-Hollwega, i redakcja frankożerczej „Gazette des Ardennes“, i nieskończone ilości różnych cokolwiek, bardziej, lub też zupełnie podejrzanych dam, starających się uprzyjemnić gorycz wielkiej wojny różnym frontowym „heldom“ i mądrym dekownikome ze sztabu.

W Charleville mniej się podobało Jaśkowi. Psia to była i paskudna robota, jak zwykle w defensywie, a w dodatku w pobliżu frontu. Żebyż to sprowadzili jeńców wojennych — no, to choć człowiek machnąć ręką może — wiadomo, wojna. Ale te draby z wywiadu najwięcej sprowadzały Bogu ducha winnych cywilów, z najdalej położonych od linji ognia okolic. Było to bardzo miłe i w dodatku najzupełniej bezpieczne zajęcie. Węszył taki szpicel w cichej wiosce na tyłach przez kilka tygodni, kombinował, który chłop bogatszy, no i wreszcie spadał, jak kania, aresztował, przetrząsał chałupę, kradł, co się zmieści, i triumfalnie wywoził do Generalhauptquartier do Charleville. Każdy taki delikwent trafiał do rąk Jaśka Kaczmarka, prowadzącego ewidencję. Wypisywał on pięknem gotyckiem pismem imię, nazwisko, personalia, rysopis, kazał odcisk wielkiego palca przyłożyć na rogu, i niemal w każdym wypadku, pod rubryką „zaco aresztowany“, — wypisywał: za dawanie sygnałów aeroplanom nieprzyjacielskim. Jakie to były sygnały, jaki dały rezultat, kto je wogóle widział, wszystko to było zupełnie obojętne i komuby zresztą w głowie było takiemi głupstwami się bawić. To też Jasiek sumiennie wszystkie punkty wypełniał, stawiał numer porządkowy ileś tam dziesiątków tysięcy i coś, podpisywał Johann Katschmarek i przykładał piękną pieczątkę z napisem w otoku: Generalhauptquartierfeldpolizeimeldebüro N. 89.

Wstępujcie do L. O. P. P.

I przykładałby Jasiek dalej pieczątki, gdyby nie wydarzenie, które omal nie poznajomiło go bliżej z przechadzającą się w okolicach miasta Verdun niezbyt uprzejmą damą, biało ubraną, której na imię — śmierć.

Siedział sobie któregoś ranka w swem biurze, kiedy szpicle przyprowadziły „specjalnie interesujący“ numer, któremu dla pewności zbiły już cokolwiek gębę i przeszukały kieszenie. Był to jeniec francuski z pierwszego pułku Legji Cudzoziemskiej, nie mówiący właściwie żadnym językiem. Po francusku nic nie rozumiał, wytrzeszczył tylko oczy, po niemiecku nic, ani w ząb, po angielsku tembardziej. Nazywał się ów jeniec Brys Telesphore, miał lat 22, oczy błękitne i jasnoblond włosy. Nic nie można było z niego wyciągnąć. Staatsangehörigkeit — nic. Wo geboren — nic. Wściekł się wicefeldfebel Piffke — i w pysk.

— Jezus Marja! — jęknął niemowa.

— Brys, Brys, — mruknął Kaczmarek. — A nie będziecie wy zwyczajny polski Bryś?

— Bracie, ratujta! — szepnął okrwawionemi ustami żołnierz błękitny.

Wicefeldfebel Piffke zorjentował się w mig.

— So! — ryknął. — Sie! Katschmarek! Sie Aas. Sie, polnischer Hund! Sie Schwein! Sie verdammter Esel! Herr Oberleutenant! — ryczał, biegnąc do kancelarji szefa wywiadu, — hier haben wir einen polnischen Spion! Hier, im Generalhauptquartier...

I nazajutrz Jasiek Kaczmarek był już na froncie.

O świcie szarym, obładowany jak wielbłąd, skostniały z zimna, głodny, przemęczony całonocną podróżą w zimnym wagonie, wlókł się ze swą kompanją, mokrem, oślizgłem, siłą wielkich wybuchów rozoranem jak cmentarz polem, ku dymiącym łuną krwawą ruinom fortu Douaumont. Ogień huraganowy szalał wokoło. Coraz to z jękiem i świstem wielki pocisk armatni wył mu nad głową, by o paręset kroków zaryć się w ziemię i wybuchnąć pióropuszem ryku, ognia i krwi. To znów siła jakaś nieludzka rzucała nim o ziemię, osypywała błotem, kamieniami, w twarz pryskała czyjąś gorącą krwią. Dobywał resztki. sił. Gdyby nie feldfebel, zakrwawionym bagnetem pędzący ich wszystkich przed sobą, byłby się dawno w którejś mokrej jamie położył i czekał na śmierć.

Dowlókł się wreszcie do tej kupy betonu, trupów, zgnilizny, krwi i kamieni, której kiedyś na imię było fort Douaumont. Topiąc się w glinie, raniąc o żelastwo, rozbijając głowę, błądząc poomacku niemal w dymie duszącym oślepiony ogniem ciągłych, o parę kroków zaledwie buchających eksplozyj — instynktem raczej trafił do jakiejś dziury, mokrej i ciemnej, wślizgnął się do niej, skulił i posuwał w głąb jamy, pełznąc na kolanach. Aż nagle błysnęło nikłe światełko. Był wewnątrz fortu. A fort drgał i dygotał.

W tem go pchnął ktoś potężnie, zwalił, podeptał.

— Gasmaske! — ryknął głos czyjś w ciemności.

Jak tę maskę wydobył, jakim cudem założył, poco, dlaczego wybiegł potem z tych mroków, czując mimo maski wokoło gaz słodkawy, duszący... Dość, że oczy jego oślepłe drżały w świetle dziennem. Wszędzie, wokoło, biegły oszalałe piechury w płaszczach błękitnych. Rwali do ataku, przez śmierć i żelazo, przez krew i ruiny, przez wszystkie piekła.

Pamięta, ledwie jeszcze pamięta, tak, jakby przez mgłę że wołał: Kamerad, Polonais! Ogarnęła go potem wielka cisza i ciemność. Aż kiedyś, nocą, dojrzał coś, jakby widmo, czy cień białej kobiety, pochylony nad sobą, z krzyżem czerwonym nad puklami włosów złocistych...

Parę miesięcy później był w Le Puy, w wielkim polskim obozie, i razem z innymi meldował tłómaczowi, panu profesorowi Pawłowi Cazin, uśmiechającemu się do niego poczciwie, że prosi o odkomenderowanie do wojska polskiego.

Zwiedzał wtedy obozy stary pan Władysław Mickiewicz, syn wielkiego Adama i sprawdzał polskość jeńców z armji niemieckiej. Mało miał zachodu z Jaśkiem Kaczmarkiem, który przecież był chłopakiem niegłupim i zaraz na wstępie, żeby panu Mickiewiczowi zrobić przyjemność, „deklamować“ zaczął „Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie“.

I rzeczywiście owa Litwa na zdrowie mu poszła, wkrótce bowiem był już w Sille de Guillaume, w wielkiem polskim obozie, a że minę miał dobrą i wygląd służbisty, więc go wziął sobie na ordynansa pan porucznik Henryk Połoński, okrutnie zamaszysty oficer, poharatany rzetelnie i trochę kuternoga, ale zato żołnierz co się zowie i zaufany samego pana Generała Hallera.

Miał coprawda Jasiek Kaczmarek trochę kłopotu z kwiatkami i bilecikami, które dość często nosić musiał do kuzynki księdza proboszcza, ale te czasy mile wspomina, zwłaszcza, że na plebanji częstowano go tęgiem winem.

Bohaterski czyn francuskiej łodzi podwodnej w roku 1919.

Do jednych z bardzo pięknych raidów łodzi podwodnych należy wywiad największej łodzi podwodnej francuskiej, która w 1915 r. zbliżając się strefy morza Adrjatyckiego zauważyła z dala austrjacki okręt wywiadowczy (torpedowiec), który wyszedł z Poli. W pierwszej chwili chciał komendant tej łodzi podwodnej storpedować okręt, jednak później uznał za lepsze pojechać za tym statkiem do Poli i tam zniszczyć flotę austrjacką. Dostanie się do Poli było bardzo trudne, gdy dostęp był minami zamknięty, a wolne przejścia znały tylko te okręty, które w celach wywiadowczych lub operacyjnych wychodziły z portu. Komendant tej łodzi podwodnej postanowił więc udać się pod wodą za tym austrjackim torpedowcem i tą drogą wejść do portu.

To mu się też udało, jednak w porcie po wejściu tego torpedowca zamknięty został dostęp, gdyż na głębokości kilkudziesięciu metrów była siatka druciana, która zamykała się i potem za silniejszem dotknięciem się alarmowała elektrycznie załogę.

Łódź podwodna pozostała przez noc obok tej siatki pod wodą, a kiedy nazajutrz po otwarciu wejścia, miała zamiar wśliznąć się do portu okazało się, że łódź ta wplątała się w sieć, której urządzenia zaczęły przy poruszeniu się łodzi w tej chwili alarmować. Pełniący służbę na porcie w Poli kanonier natychmiast uderzył w alarm i w ciągu kilku ledwie minut armaty forteczne rzuciły kilkanaście strzałów w miejsce szamotania się tej łodzi.

Bohaterski komendant łodzi francuskiej widząc przegraną wywiesił flagę białą i w kilka chwil później wraz z załogą znalazł się w niewoli. Gdyby nie ten przypadek, łódź podwodna weszłaby do portu i kilku torpedami mogła zniszczyć całą flotę austrjacką stojącą w Poli.

Łódź powyższa, jedna z największych, gdyż załoga liczyła 26 ludzi, weszła w stan floty austrjackiej. Później Austrjacy często chwalili się, że mają największą łódź podwodną, nie wymieniając tego faktu, bohaterskiego czynu Francuza, aby ukryć swoją niezdarność i tak łatwą możliwość utraty całej floty.

Stanisława Daszkiewicz - Czajkowska.

Garść wspomnień o Małaczewskim.

(Ciąg dalszy).

Gdy miał już utorowaną drogę do sławy, pilnie studjował Balzaca i mówił, że ma dziwny sentyment do tego pisarza, który tak samo jak on, karjerę swą w kancelarji adwokackiej zaczynał.

Wysoka kultura duchowa domu, który go bardzo życzliwie jako swego domownika przyjął, wyborowa bibljoteka musiały działać silnie na rozwój umysłowy chłopca.

W tym czasie zaczął namiętnie bez wyboru i kierunku czytać. Poznał gruntownie literaturę rosyjską. Literaturę wszechświatową studjował głównie z dziesięciopiejkowej żółtej bibljoteki rosyjskiej. Miał tego całe kufry. Wszystkie pieniądze swoje w tym czasie wydawał na książki.

Z ojczystej literatury oprócz trójcy poetów i Sienkiewicza, z żyjących najsilniejszy wpływ wywierali nań Żeromski i Leśmian.

Żeromski był mistrzem jego prozy, a Leśmian, ten samotny oddaleniec od stołecznego zgiełku literatury, uczył go nietylko kunsztownie rzeźbić formę, ale także po skrzaciemu podpatrywać naturę.

— W dwuch zacisznych, pełnych kwiatów ogrodach, bawiła go gromadka dzieci. Między tę gromadkę wszedł Genio z całą wyższością starszego chłopca, z egzotycznością postaci pracującej na siebie, wnosząc tam coś ze świata, z za sztachet tych ogrodów, ale w istocie swej taki sam dzieciak jak one.

Tak samo jak w Internacie budowały się tu fortece, toczyły bitwy na jabłka i kasztany, snuły się marzenia pod czeremchą.

— Tylko subtelność tego zbiorowego obcowania była nieco większą, stopień był trochę wyższy i rasowa dusza Genia w lot tę subtelność odczuła, na ten wyższy stopień podświadomie tu właśnie się podniosła.

To gromadka dzieci, puszczająca żółwia do fontanny zatajała dech w sobie i zdziwione jej oczy zbiorowo pytały:

„Czy zmarszczki, krągłe jak pieniążki
Wkrapia do tafli wodotrysku spust,
Czy raczej stają się te wielokrążki
Od pocałunków irysowych ust".

— Jeszcze jeden czar Humania kształtował wrażliwą duszę poety —

to Zofiówka.

Ten dziwny żart natury i człowieka, niespodzianie z pośród równin stepowych wykwitający, wspaniała dekoracja miłosna, którą pańskiej fantazji gwoli ostatnia fala epoki z Trianon'u aż na stepy ukraińskie zaniosła.

— Niewiadomo, co więcej podziwiać: czy przepych natury, odbijający od jednostajności stepowej, czy artyzm pomysłu, czy monumentalność wykonania. Monumentalność tak wielką, że nie oparła się nietylko zwycięsko czasowi, ale nawet niewolnicy rewolucji nie zdołali zburzyć dzieła, dźwignionego kosztem życia niewolników pańszczyźnianych.

Do stylowego piękna epoki czas dodał swoje piękno.

Tak samo, jak niegdyś, złoci się cicha tafla górnego stawu pośród wiejskiego krajobrazu. Coraz niżej pochylają się drzewa nad kunsztowną linją dolnego stawu, którego kamienną ramę jesień co roku w purpurę dzikiego wina ujmuje.

Dziś jeszcze śmiałek może przejechać podziemnym tunelem z górnego stawu na ciche, ukryte w gąszczach, jezioro umarłych.

Ze szczytów Zofijówki, z pod obelisku, wzrok wybiega wspaniałą perspektywą poza staw, poza aleję wjazdową, hen w dal w bezkresne stepy Ukrainy...

Głębszy i prawdziwy smętek, niż konwencjonalny sentymentalizm epoki, ogarnia przechodnia, snującego się dziś po cichych polach elizejskich, oglądającego niewyschłe dotąd z biegiem strumyka trzy łzy po stracie trojga dzieci Potockiego i strzaskaną kolumnę jego szczęścia.

Dziś jeszcze w dni uroczyste rozbrzmiewa Zofijówka szmerem puszczonych kaskad, wodospadów i wodotrysków.

Sędziwiały tylko i schły topole na wyspie miłości i stopniowo opuszczały Zofijówkę wszystkie białe duchy, których kamienne oczy na sielankę z epoki Króla Stasia patrzały.

Pierwszy, jako najmniej lojalny, opuścił swój postument Trembecki, drugi odleciał bezpowrotnie Amor biały, którego naiwny wyraz twarzy tyle krwi napsuł w swoim czasie Słowackiemu; pierzchła płochliwa Nimfa z nad studni, znikł lekkonogi Merkury, nawet Caryca, która po Potockich „Carіcyn sad" w posiadanie objęła, i ta przeniosła się do zacisznego pawilonu wspaniałej oranżerji;

— pozostała tylko wstydliwie ukryta za prześcieradłem kaskady Wenus pod mostem i olbrzymi, strzegący głównej alei, dobrotliwie do czasów i ludzi uśmiechający się Eskulap, któremu dziad utrącał pierwszy palec u nogi, a wnuk czynił to z ostatnim.

W twórczej bezczynności, na łonie takiej Zofijówki, subtelniał i wyostrzał się młodzieńczy słuch poety, aż nauczył się rozróżniać, że — inaczej kląska słowik w wiśniowym sadzie Internatu, inaczej w purpurowych gąszczach róż zacisznej uliczki, a inaczej w płonących żyrandolach wjazdowej alei Zofijówki, gdzie „odprawiają słowiki

Swój walny w kasztanach wiec".

Do młodzieńczych wrażeń Genia dodać należy jeszcze — morze.

Morze podarowała Geniowi pani Bironowa, jedna z najpiękniejszych postaci kresowych, jakie znałam.

Założyła ona polską osadę nad morzem Czarnem pod Odessą, a w tej osadzie wydzieliła kilkaset sążni dla dzieci z Humania i z pomocą dobrych ludzi wzniosła dla nich domek.

Tam to co roku dzieci z Internatu jeździły po zdrowie, a Genio pojechał po — objawienie poetyckie.

— Chłopięca dusza, niezdolna jeszcze wylatać w bezkresy błękitu, do których oczy wysoko podnieść trzeba, uklękła w karnym zachwycie przed bezkresem szafirowych wód,

„a usta jej jakby w szczęście, w tę wodę się wcałowały".

Nad morzem powstały pierwsze utwory Genia, zwiastujące wielkiego poetę.

Radzono mu, aby jechał się kształcić, obiecywano pomoc — odmówił stanowczo, utrzymując uparcie, że bez urzędowych świadectw swobodniej i lepiej, własną drogą idąc, umysł swój wykształci.

Drugi rok wojny zaciągnął go do szeregów rosyjskich, jako prostego żołnierza. Okoliczność, która szczerym smutkiem przejęła wszystkich jego życzliwych, przez niego potraktowana została ze zwykłą mu niefrasobliwą beztroską.

Rozpoczęły się jego wyższe studja.

O tem, że „każdy legun to istna perła w szarą jednakowość oprawna" zaczął Genia uczyć szynel sołdacki.

Naga dusza ludzka jawiła mu się nie w dreszczach ekstazy miłosnej, nie w oparach alkoholu lub absyntu przy stoliku kawiarnianym, a w ogniu biwaków, przy rabunku palącego się domu, u wezgłowia konających towarzyszy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MARJAN ŻEBROWSKI.

Od Suwałk do Mindenu.

Wspomnienia z roku 1920.

(Ciąg dalszy).

Życie obozowe płynęło nudnie i męcząco, ogólny brak pożywienia. Co parę dni wybuchały bunty i głodówki. Tak było aż do przyjazdu delegacji górników polskich z Zagłębia Westfalskiego; delegacje te przyrzekają nam pomoc i w istocie pomoc tę zaraz rozpoczynają, dostarczając do obozu fasolę, kaszę oraz tłuszcz, zebrane na poczekaniu przez ofiarnych rodaków — górników kopalń Westfalskich.

Tymczasem do obozu przybywają nasi żołnierze, którzy po rozbiciu bolszewików razem z nimi znaleźli się w Niemczech, a więc byli tu starzy wiarusi z Brygady Syberyjskiej, która walcząc bohatersko wpadła w szpony pod Chorzelami i Mławą, a później wzięta do niewoli, musiała iść do Prus Wschodnich, aż tam Niemcy ich oddzielili i odesłali do Mindenu, gdzie do połowy września zgromadziło się już około 2500 ludzi. Nie brakło między tymi żołnierzami-wygnańcami i dzieciuchów z Armji Ochotniczej, byli też i ułani z tatarskiej jazdy. Nikogo więc nie brakowało.

Dnia 1 września wychodzący w Bochum „Wiarus Polski“ zamieścił do tamtejszego społeczeństwa polskiego następującą odezwę, która najbardziej prawdziwie scharakteryzowała nasze życie. Oto ona:

Bochum, 11. IX. 1920 roku.

ODEZWA!

Rodacy i Rodaczki!

Wojna zawrzała. Nad Ojczyzną zawisł ciężki młot, który zdawało się zgniecie nasz kraj, a ludowi jego narzuci znów pęta niewoli. Na myśl tę zbudził się duch w narodzie polskim, duch wolny, choć w kajdanach zrodzony, duch przodków z pod Grunwaldu i Wiednia. Tysiączne zastępy w żyłach których drgnęła krew staropolska, wstąpiły do szeregów, aby piersią swą niebezpieczeństwu drogę zaprzeć. Setki zostawiły życie swe na polu chwały, setki odniosło rany, a i zastęp duży dostał się do niewoli bolszewickiej. Około 2500 z tych, którzy dostali się do niewoli bolszewickiej, zmuszonych było, po odcięciu odwrotu armji wrogiej przez dzielnych synów Polski, przekroczyć granicę państwa niemieckiego.

Jak wiadomo, znajdują się oni w Minden, w obozie internowanych, a znajdują się starcy, mężczyźni w sile wieku, młodzieńcy i młodzieniaszki. W tych dniach wysłał Komitet Wykonawczy komisję, aby zbadać położenie, w jakiem znajdują się bracia nasi, a rycerze o wolność nietylko Polski, ale całej Europy. Serce się rani na wieść o losie tych rycerzy. Obdarci oni zostali przez hordy bolszewickie do ostatka, podarta derka stanowiła ich cały ubiór. Nadzy! bez bielizny i ubioru. Bosi! Nogi im się krwawią, bez butów. Okradzeni i wyzuci, wycieńczeni śmiertelnie, głodni bez pożywienia, wyglądają serc litościwych, aby ich nakarmiły i przyodziały. Ciało ich to jedna rana, jątrzona przez robactwo.

Rodacy! Dużo już na ten cel zebrano, lecz przeznaczono na wyżywienie, a brak nam odzieży i obuwia dla nich. Zanosimy zatem tę gorącą prośbę do wszystkich Rodaków i Rodaczek, którzy współczują z tymi nieszczęśliwymi braćmi, o ratunek dla nich. Oddajemy ich pod Waszą opiekę i wzywamy Was, radźcie wspólnie nad ich losem. Oddaj zbytnią koszulę, spodnie, marynarkę i t. p. choć podarte, znajdą się ludzie, którzy poświęcą czas do naprawienia. Oddaj twe zbytnie buty. Odstąp cośkolwiek dla pożywienia, jak grochu, kaszy i t. p., aby ratować wycieńczonych. Ciężko będzie Wam, Rodacy! Jesteśmy wszyscy biedni, lecz dla umierającego z głodu i chłodu brata, znajdzie się cośkolwiek. Przemysłowcy Polacy! Pamiętajcie o głodnych bohaterach!

Do czynu więc Rodacy, a dziękować Wam będzie łzą głodny brat, podziękuje i Ojczyzna, żeś przyodział i nakarmił jej syna. Oddajcie Rodacy co posiadacie zbytniego. Dary prosimy składać u prezesów komitetów za osobnem pokwitowaniem. **Komitet Wykonawczy.**

I stało się. Wielkie słowo w czyn się obróciło. Jak długa i szeroka Westfalja, zbierano dla nas dary. Już 13. IX. obiad dla 1500 ludzi był zgotowany z darów naszych ofiarnych rodaków. Chociaż sami biedni, lecz serdeczni, nie dali nam zginąć z głodu. — Cześć im za to!

13. IX. przybyła do obozu delegacja Narodowego Związku Górników Polskich z redaktorem „Wiarusa Polskiego“ na czele, który miał przemowę do zebranych żołnierzy. Zaznaczył on w swem przemówieniu, że chociaż sam jest dzieckiem Westfalji, tu bowiem urodził się i wychował, to jednak siła jakaś ciągnie go ku nieznanej Swej Ojczyźnie, którą kocha nad życie. Przemówienie swe zakończył trzykrotnym okrzykiem na cześć Armji Polskiej i Jej wodzów, akcentując wielką popularność naszego „błękitnego generała“ za jego poświęcenie się służbie Ojczyzny. Rozentuzjazmowani żołnierze chórem krzyknęli „Niech żyją szlachetni bracia górnicy“. Wieczorem w kasynie obozu grono żołnierskie odśpiewało cały szereg pieśni narodowych, którym z zainteresowaniem przysłuchiwali się nasi rodacy.

Koniec.

MYŚL.

Wybrał Ign. Chrzanowski.

W dobie popowstaniowej u nas publicyści szkoły krakowskiej, potępiający powstania, wiele się znęcali nad młodzieńczemi słowami Mickiewicza: „Mierz siły na zamiary, nie zamiary podług sił“. Nie to było grzechem organizatorów powstań, że „mierzyli siłę na zamiary“, ale to, że zamiary ich nie były mądre, a właściwie nawet, że zapytani o swe zamiary, nie umieliby dać odpowiedzi, bo nie wiedzieli dobrze, do czego dążą! Zasady „mierzenia zamiaru według sił“, w istocie słusznej, bardzo łatwo nadużywać dla usprawiedliwienia lenistwa i braku odwagi. Tymczasem wielkie zamiary, wielkie cele, bardzo napozór przerastające siły, bywają przeważnie urzeczywistniane, jeśli ci, co je sobie stawiają, wiedzą dobrze, do czego idą i wszystkie swe siły ku jednemu zwrócą celowi. Wtedy siły rosną ponad oczekiwanie.

Roman Dmowski,
Jak odbudowano Polskę.

ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI.

Lwów pod chmurami.

Ciąg dalszy.

Przechodzę koło kościoła bernardynów, wpatruję się w uroczy fronton świątyni — i znowu mi się cisną wspomnienia z „Ogniem i mieczem"; wszak ci to tutaj, przed ołtarzem ofiarowano buławę Jeremjemu Wiśniowieckiemu, a od chwili tej rozpoczęła się poprawa losów wojennych. Idę dalej, by od sławnych wspomnień dotrzeć do relikwji nie mniej sławnej, choć świeżej: do grobów obrońców Lwowa z roku 1918-1919, na cmentarzu łyczakowskim.

Na jednem ze zboczy tego najpiękniejszego z miejskich cmentarzy w Polsce, wyrównano z wylotem na południe rodzaj lekka spadzistego płaskowzgórza i tam wznosię się lasek białych, najskromniejszych krzyżów.

Wchodzę w tę gęstwę z towarzyszem, kapitanem armji ochotniczej, jednym z obrońców Lwowa.

— Niemal każdego z nich znałem, mówi — tu leży porucznik O*, z zawodu chemik; gruźlica go już oddawna jadła, pracował nad wydobywaniem niebezpiecznych wybuchowych materyj, każdej chwili przy lada nieostrożności całe laboratorjum, wraz z nim, mogło wylecieć w powietrze. On to, by wysadzić koszary ukraińskie, brnął pod ziemią w kanałach miejskich, w ściekach i kale, nieraz po szyję się w nich nurzając. Wszystko, co robił, robił z pogodnym, dobrotliwym uśmiechem, choć temperatura gruźlicza żarła go. Zginął przy próbie min.

Tutaj chłopak szewski. On to prowadził wyprawy na tyły ukraińskie po broń i amunicję. Zginął przy zdobywaniu pozycji X. Chowaliśmy go tutaj, gdy z za wzgórzy Ukraińcy, obsypywali ten cmenetarz szrapnelami.

Tu ten... tu ów. W uszy me wpada jakaś przedziwna opowieść, w której każdy refren kończy się: był naprawdę bohaterem.

Tu syn profesora, tu czeladnik, tu młody szlachcic z takiego to a takiego powiatu. Tu cała placówka, broniąca się na śmierć lub życie.

Przed niektóremi z tych mogił stoją ławki. Z góry odgadniesz. że to groby jedynaków. Na tych ławkach siadają matki i tak godzinami zapewne gwarzą ze swą odebraną pociechą:

— Pamiętasz, kiedy byłeś maleńki, jakem ci na choinkę kupiła konia drewnianego i szabelkę. Mówiłeś wówczas, że jedziesz na wroga, co Polsce ziemię chce odbierać. Dziś płaczę po tobie. Ale nic to, synku; nie zważaj na łzy moje — więcej dziś już, gdym ciebie straciła, dać Ojczyźnie nie mogę. Ostatni to mój dar — Jej i tobie.

I płyną z tych ławek rozmowy z grobami. Ciche,ukojne, jak obręcz ramion matczynych nad kołyską.

Trawy i kwiaty poobrastały dziś groby. Kwiaty nad tymi, którzy w mieście pozostawiali po sobie rodziny. Trawy i bujne ziele na mogiłach sierot, lub na mogiłach tych, których bliscy daleko. Jednako mi pachniały astry i nasturcje, łopian i bylica. Jednakową pozłotą i pióropiuszem.

* * *

Włóczyły się złe, stalowe chmury po niebie, gdyśmy z góry wstępowali w te mogiłki. Gdyśmy ruszali z powrotem ku miastu — zachodzące słońce wyrwało się z za chmur i pękiem triumfalnego, karmazynowego światła padło na gaj krzyżów. Zazłociły się one w tem świetle, jak szturmowy pochód monstrancji. Stanęły przedemną, jakby jakiś bezcenny, wprost z ziemi ojczystej wyrastający skarbiec. Zazłociło się bohaterstwo tych nieulękłych i złotem wołaniem przemówiło do przybysza:

— Niczem chmury chwilowe na niebie, Lwów nie odda naszych grobów!

* * *

Nie odda!...

KONIEC.

Nad Zbruczem.

(Połowa lipca 1920).

I.

Tuż za Lwowem, gdy się z miasta wyjedzie na wschód — zaczyna się nastrój wiosenny. Pociąg pospieszny mija na stacjach eszelony i pasma wagonów, wypełnionych żołnierzami i końmi. To dąży na front. Ze strony przeciwnej platformy wagonów towarowych, wyładowane działami, karabinami maszynowemi, automobilami etc.; maszyny-inwalidy idą, po dobrze zasłużonej robocie, na remont do fabryk krajowych. Stróżują nad niemi żołnierze, rozradowani co się zowie, z urlopowej gratki. Poznać to po ich humorze.

Oto na jednej zwiększych stacyj, żołnierz - artylerzysta, jadący w naszym pociągu, odnajduje w takim konwoju swego towarzysza z baterji. Pociąg nasz rusza, więc przywitanie pospieszne i szybkie, potem zapytanie:

— Dokąd ją (armatę) wieziesz?

— Do Warszawy, by strzelać do strajkowców — żeby wiedzieli, że jak wojna, to wojna — nie strajk! — dolata nas z oddalającego się wagonu wesoła, andrusowska uwaga, po której oczywiście następuje gromadny ze wszystkich platform, zdrowy, młodzieńczy, głośny śmiech, ten niechybny wtór każdego powiedzenia, które wiara uzna za dowcip.

Między tymi inwalidami większość jest zdobyczna. Cechą naszych walk jest to, że nawet w odwrocie zdobywamy codzień na wrogu działa i „maszynki". Wśród naszego żołnierstwa powstał już rodzaj sportu, myśliwstwa czy łowiectwa w tej mierze. Po ataku, kontrataku, wyprawie, niema dla żołnierza większego zmartwienia nad wiadomość, że „wróciło się z gołemi rękoma", czyli że się „nie zafasowało" ani jednego choćby karabinu maszynowego.

Tu muszę przytoczyć szczegół bardzo charakterystyczny:

W czasie mej podróży, przybywszy do sztabu jednego z najdzielniejszych pułków, broniących wówczas Zbrucza, natrafiłem na pełnię bitwy. Szrapnele bolszewickie padały gęsto. Nasza baterja ciężka, przy której stałem, odpowiadała w mocno przyspieszonem tempie.

— Macie dzisiaj robotę, co — wdałem się w rozmowę z żołnierzami, pilnującymi koni.

— Bo to o te maszynki tak się wścikają — objaśnia mię krępy przysadkowaty mazur z pod Jasła.

— O jakie maszynki?

— Ano te, co wczorajeśmy im wzięni. Pirwszo kompanja zeszły nocy wcisnęła im się takim synom za plecy do wsi i świśnęła im cztery maszynki. O to juchy takie złe. Ano niech idom: będziemy mieli znowu jakie kilka maszynek. A fajne som, przydadzom się.

Kasper z pod Jasła, albo Wicek z pod Kłodawy nie podejrzewa nieprzyjaciela o jakieś głębsze cele strategiczne. Na bitwę patrzy, jak na własne wsioskie sposoby.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozmaitości.

Trzęsienie ziemi nawiedziło Węgry w dniu 31 stycznia. Trwało kilka minut. Najsilniejsze było w Eger.

* * *

W miasteczku Stołpce zburzono z rozporządzenia władz stary słup graniczny, liczący zgórą 350 lat. Słup ten znajdował się niegdyś na pograniczu dóbr ks. Radziwiłłów i Czartoryskich. Słupów takich było trzy i od nich miasteczko otrzymało swoją nazwę. Dwa z nich uległy zniszczeniu, a trzeci dotrwał do czasów obecnych i dopiero teraz na rozkaz władz runął pod uderzeniami na budowanej obecnie szosie...

Prez. Rzplitej najwyższym zwierzchniekiem sił zbrojnych.

Kilka dni temu na posiedzeniu sejmowej komisji wojskowej toczyła się dyskusja nad projektem ustawy o organizacji najwyższych władz obrony państwa.

Przyjęto szereg artykułów rozdziału pierwszego, zatytułowanego: Prezydent Rzeczypospolitej, w których konkretnie wyrażają się funkcje Prezydenta Rzeczypospolitej, jako najwyższego zwierzchnika sił zbrojnych państwa.

M. i. przyjęto następujące artykuły:

Art. 1., który przyjęto w brzmieniu następującem: najwyższym zwierzchniekiem sił zbrojnych państwa jest Prezydent Rzeczypospolitej;

Art. 5. Prezydent Rzeczypospolitej zarządza mobilizację na wniosek Rady Ministrów, przedstawiony przez ministra spraw wojskowych;

Art. 6. Prezydent Rzeczypospolitej wypowiada wojnę i zawiera pokój za uprzednią zgodą Sejmu.

Art. 8. dotyczy ogólnych uprawnień ustawowych Prezydenta Rzeczypospolitej od chwili ogłoszenia mobilizacji przez cały czas trwania wojny.

Bezczelne kłamstwo niemieckie o Polsce.

W Gdańskim Heimatsbundzie niejaki dr. Huebner wygłosił przed kilkoma dniami niesłychanie tendencyjny odczyt na temat stosunków panujących w Prusiech Zachodnich za czasów ich przynależności do dawnego państwa polskiego przed pierwszym rozbiorem Polski.

Dr. Huebner, który w bezczelności swej doszedł do tego, że na poparcie swoich twierdzeń powołał się na rzekome źródła polskich historyków, oświadczył, że na ziemiach tych nie było wówczas uporządkowanej gospodarki, tak, że doszło w końcu do zupełnego wyludnienia miast, a więc np. Kruszwica liczyła za czasów polskich zaledwie 60 mieszkańców.

Oświetlenie, miary i wagi oraz apteki nie były znane, poczta nie istniała, gdyż nawet tak wysocy urzędnicy jak starostowie nie umieli często pisać.

Przedstawiwszy w takiem świetle ówczesne stosunki w Polsce, dr. Huebner z dumą podkreślił, że dopiero król pruski Fryderyk po wcieleniu tych ziem do Prus, zdołał je podnieść i zaprowadzić tam pewien dobrobyt.

Nowe odkrycie w Zamku Królewskim.

Ostatnie badania, prowadzone przez prof. Skórewicza w Zamku Królewskim w Warszawie dały ostatnio ciekawe rezultaty. W części gotyckiej Zamku przy wieży, odkryto studnię zamkową, znajdującą się wewnątrz zamkowych zabudowań Książąt Mazowieckich. Studnia ta zachowała się doskonale i stanowi jedną z najbardziej znamiennych cech średniowieczności tej części Zamku. W Polsce zaledwie 3—4 najstarsze zamki posiadają podobne studnie lub ich ślady.

Pamiątkowy dokument w rękach bandyty.

Urząd śledczy w Toruniu zawiadomił policję warszawską, że jest w posiadaniu oryginalnego dokumentu nominacyjnego na nazwisko porucznika Felicjana hr. Fredry z roku 1809 podpisanego przez ówczesnego ministra wojny ks. Józefa Poniatowskiego i pragnąłby dokument ten zwrócić prawemu właścicielowi.

Z doniesienia toruńskiego urzędu śledczego okazuje się, że dokument powyższy policja znalazła podczas rewizji w mieszkaniu sprawcy napadu rabunkowego, zdegradowanego porucznika rezerwy Augusta Ziółkowskiego, którego poszukiwano.

Historja Mah-Jonga.

Tak obecnie modna gra towarzyska Mah Jong ma już swoją pięćsetletnią tradycję.

Przed pięciu wiekami Chiny prowadziły krwawą wojnę z Japonją. Wojska chińskie zostały rozgromione i musiały szukać schronienia w murach stolicy. Trwające przez dłuższy czas podczas oblężenia pogotowie wojenne w dzień i w nocy tak żołnierzy wyczerpało i zdenerwowało, że wpadali w rodzaj letargu, który stał się znakomitym sprzymierzeńcem wroga. Chiński generał Mah łamał sobie głowę, aby wymyślić jakiś środek przeciw zasypianiu żołnierzy i uniknąć w ten sposób niebezpieczeństwa napadu w czasie snu. Wziął więc 144 kartek papieru i namalował na nich różnego rodzaju figury, niebieskie i czerwone smoki, kwiaty, koła i litery. Następnie kartki te zostały zastąpione przez kostki z bambusu. Nowa gra przyjęta została przez żołnierzy z tak ogromnym zapałem, że zapomnieli przy niej o spaniu. W końcu stała się taką namiętnością, że jenerał Mah musiał jej zabronić zwyczajnym żołnierzom.

W ten sposób przetrwał Mah Jong tajemnie pięć wieków. Z Szanghaju dostał się do Ameryki, a stamtąd w ostatnich czasach do Europy.

Jak Żydzi o nas piszą.

Bezwzględnie wrogie nam, żydowskie pismo nowojorskie „The Nation“ zamieszcza list z Warszawy pióra Żyda, Ludwika Lewisohna, który niedawno bawił w Polsce, dokąd przyjechał był, ażeby zabrać do Ameryki swoich rodziców. Lewisohn ze wzruszeniem wielkiem opowiada o odjeździe 200 żydów warszawskich do Palestyny, przyczem nie może powstrzymać się od jadowitych inwektyw przeciwko Polsce.

„Przez źle oświetlone ulice toczymy się — pisze Lewisohn — w ciasnych dorożkach. W drodze mijamy pomnik Mickiewicza, który w znanym wierszu najlepszego swego dzieła wita w Żydzie brata. Polacy nie mogą tego strawić. I dlatego to poeta ten pozostaje w cieniu (?) tak jak pomnik. Jedziemy przez Wisłę, którą płynęły zawsze łzy i krew. Od wieków fale jej niosły trupy. Jakiś czas żył w pokoju brzeg jej zachodnio pruski. Nie wie dziś nikt, kiedy brzeg ten znów obejmie tę historyczną rolę, rzeka ta bowiem przecina teraz około Gdańska korytarz polski“.

Opowiada potem Lewisohn o dworcu warszawskim, na którym tłoczą się tłumy żydów, odprowadzających wychodźców palestyńskich... „W żadnej formie Żyd nie może uzyskać w Polsce obywatelstwa. Dbają o to Polacy. Dziewięćsetletnie wspólne używanie tego samego słońca, powietrza i chleba, wspólna dola, wspólna walka (?) ze wspólnym wrogiem i ciemięzcą nic tu nie znaczy“. „Dwustu ich jedzie. Odprowadzają ich ojcowie, matki, rodzeństwo którzy cieszą się, choć tracą na zawsze swych najbliższych. Lecz cieszą się, że odjeżdżają od nich, że z mroku jadą w słońce, z kraju uniżenia w kraj wolności. Nie mogąc tam odjechać, cieszą się, że jadą inni, choć sami zostaną tu w oczekiwaniu przyszłych pogromów“. (?)

Czy nie dość cytatów?



DZIAŁ SPORTOWY i DRUŻYN BŁĘKITNYCH

Prof. Albrycht.

Organizacja sportu.

(Artykuł propagandowy).

Co oznacza słowo sport?

Jest to słowo pochodzenia angielskiego i według The Concise English Dictionary jest ono skróceniem słowa disport i oznacza: zabawę, grę, rozrywkę na świeżem powietrzu, popisy pojedyncze lub zbiorowe, zapasy fizyczne, gry sprawne lub swawolenie, za które mają być dawane nagrody, ćwiczenia, które obok przyjemności przyczyniają się do wyrobienia zręczności i siły, hartują ciało. Sportsman, jest to człowiek z zamiłowaniem oddający się jakiemuś sportowi czyli ćwiczeniu lub rozrywce i w tem ćwiczeniu doprowadza swoją zdolność do pewnej doskonałości.

Sport jest to czynność w znaczeniu zawsze dodatnim a nigdy ujemnym. Popatrzmy teraz co mówi o sporcie życie, co mówią i co czują ci, którzy go uprawiają.

Pięć elementów sportu.

Pięć jest głównych elementów w sporcie: inicjatywa, wytężenie sił, dążenie do doskonałości, pogarda dla niebezpieczeństwa, wytrwałość.

W sportach znajduje człowiek przyjemność przez współzawodnictwo i zwyciężanie innych, ocenia się lepiej wartość własnej siły i zręczności, zdobywa wreszcie ostatnie zalety — śmiałość i pewność siebie.

W sporcie jest zawsze pewne ryzyko niebezpieczeństwa które wyrabia odwagę. Przez usuwanie wszelkiego ryzyka, osięga się zanik energji, ta zaś prowadzi do niedołęstwa i zniewieściałości.

Sport jest grą, która uczy jako grę traktować życie, hołdować w nim zasadom fair play, w walce o byt zostać gentlemanem.

Sport budzi w nas pierwotny instynkt ukochania życia, przestrzeni i swobody.

Sport jest zabawą w męstwo i heroizm, w ofiarność i solidarność.

Sport jest to wieczne dążenie do prześcignięcia się w dowodach siły ciała i przejawach niezwalczonej siły ducha. Poczucie karności i duch rycerskości są najpotężniejszemi czynnikami moralnemi w sporcie.

Sport jest źródłem zdrowia, siły, energji i młodości. Siła fizyczna oznacza więcej aniżeli tylko siłę mięśni, oznacza ona siłę życiową wewnętrzną, która jest wynikiem dobrze działających organów ciała.

Tak o sporcie mówi życie i doświadczenie.

Trudno jest dać krótkie i ścisłe określenie znaczenia słowa sport. Przy wszystkich jednakże określaniach okażą się jako cechy wspólne trzy zasady, a to że sport jest rozrywką, że uprawiać się go powinno według pewnych reguł i że dopuszcza wyróżnianie się jednych nad drugimi.

Podział sportów.

Wśród sportów odróżnia się trzy grupy: Pierwsze sporty fizyczne jak łyżwiarstwo, piłka nożna, boks, biegi itp., drugie sporty mechaniczne, gdzie głównym czynnikiem jest aparat a u człowieka wchodzi w rachubę tylko umiejętność kierowania tym aparatem, odwaga, orjentacja itd. Typem sportów mechanicznych jest automobilizm i lotnictwo. Trzecią grupę stanowią sporty umysłowe, w których główną rolę odgrywa praca umysłowa. Typem tego rodzaju jest np. fotografja amatorska, rozwiązywanie szarad, lub gra w szachy.

Wszystkie te rodzaje sportów dopuszczają do mistrzostw, wybijania się jednych nad drugimi.

Sport jest rozrywką. Z tej zasady wynika różnica między t. zw. amatorami a zawodowcami.

Pierwsi uprawiają sport dla rozrywki, dla zdrowia, drudzy dla zarobku, tem samem przestaje on dla nich być sportem, a staje się zawodem.

Zasadą jest w sporcie amatorskim, że w żadnych zawodach nie mogą być wyznaczane nagrody pieniężne, a zdobywcom nagród hnorowych, pod grozą uznania za zawodowców, nie wolno ich sprzedać. Drugą cechą sportu jest uprawianie go wedle pewnych reguł. Reguły te nie zależą od uznania uprawiających sport, ale uchwalone są przez międzynarodowe kongresy danej gałęzi sportu.

Trzecią wreszcie cechą sportu jest możność wyróżniania się, którego najwyższą formą jest zdobycie mistrzostwa, względnie osiągnięcia rekordu.

Mistrzostwa mogą być rozmaite. Najniższą kategorją jest mistrzostwo w danym dziale sportu np. w pewnym klubie lub szkole wyższe mistrzostwo pewnego miasta lub też wszystkich szkół pewnej miejscowości; jeszcze wyższe jest mistrzostwo okręgu, następnie jeszcze wyższem jest mistrzostwo państwa, najwyższem wreszcie jest mistrzostwo świata.

Niekażdy jest uprawniony do urządzania mistrzostw, skąd wynika potrzeba organizacji nietylko klubów sportowych, ale i związków tych klubów, tak okręgowych jak też państwowych.

Mistrzostwa klubu może przeprowadzić zarząd danego klubu, mistrzostwo Okręgu może urządzić tylko związek Okręgowy, mistrzostwa zaś państwowe — jedynie związek wszystkich klubów danej gałęzi sportu w Polsce.

Rekordy a mistrzostwa.

Rekord jest zgoła czemś innem niż mistrzostwo. Można być mistrzem a nie być rekordzistą. Przez rekord rozumie się maximum tego, co w danej dziedzinie sportu zdziała dana jednostka lub drużyna, o ile wynik tego da się wyrazić konkretnie w jednostkach czasu, przestrzeni itp.

Mamy rekordy klubów, miast, okręgów, państw, mamy wreszcie rekordy światowe.

Rekord obowiązuje tak długo, aż ktoś inny postawi lepszy rekord. Natomiast mistrzostwa odbywają się zazwyczaj corocznie i tytuły mistrzostw trwają przez rok.

Mistrzostwa są możliwe w każdej dziedzinie sportu, rekordy tylko w niektórych, nie ma ich np. w piłce nożnej, jeździe figurowej na lodzie itp.

Listy ewindencyjne mistrzostw i rekordów prowadzą związki przeprowadzające mistrzostwa i zawody.

Po nad wszystkiemi związkami sportowemi w Polsce, jest ustanowiona instytucja najwyższa t. zw. Związek Polskich Związków Sportowych mający pieczę nad całych ruchem sportowym w Polsce.

Jak widzimy sport jest rzeczą dobrą, godną uznania i poparcia, a organizacja jego w Polsce spoczywa na zdrowych i trwałych fundamentach.

Wstępujmy więc w zrzeszenia sportowe, niech zdrowy ruch ten obejmie szerokie masy społeczeństwa, a idea sportowa niech wejdzie w życie codzienne w walce o byt.

Bądźmy sportowcami!